Nr. 11. Lwów w listopadzie 1897. Rok XX.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

Lipcowa noc.

Skreślił

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

„Dyki znow bulbu popyćkały“; podobnej treści raporty dochodziły mnie już od dni kilku, a bolały mnie tem więcej, że banda gruboskórców, ściągnąwszy się z okolicznych lasów, żerowała nie plon, ale nasienie, wysadzone w tym roku gdzieś w czasie Sobótkowym.

Zemsta była nader utrudnioną, bo zwierz po kilkogodzinnej gospodarce w moich bruzdach wśród ciemnej nocy, wynosił się na dzienne leże w knieje sąsiednie; — ponosiłem przeto wszelkie „onera“ a trudno mi było korzystać z „bonów“, gdy zwierz w mej małej kniei nie chciał zalegać.

Przy pierwszej jednak sposobności postanowiłem położyć stanowczy koniec tej upartej pasyi, w obronie mego peruańskiego ziela i pod hasłem: mors tua, vita mea. Wprawdzie dewiza ta powinna się stać anachronizmem w czasach naszych, ale niestety tak nie jest — to też pod zapleśniałej niby to treści hasłem, wyczekiwałem pogodnej, księżycowej nocy, a żądza zemsty rosła z dniem każdym w miarę powiększania się spustoszeń w posadzonych bulbach. Pod wpływem tego nieszlachetnego i niechrześcijańskiego uczucia byłbym zdolny wymyśleć jakąś straszną maszynę piekielną i zastosować ją w danej chwili, nie dziw się zatem łaskawy czytelniku, gdy ci się przyznam, że co do armatury, jaką w celach pogromu dzików przysposabiałem, trzymałem się zasady, że cel uświęca środki; to też w okolicznościach, jakie podobnym łowom nocnym towarzyszą, uważałem garstkę gremkulek za lepszy środek tępienia jak pojedynczą kulkę. Strzał kulką wymaga wielkiej precyzyi, a gdy warunków ku temu braknie, Bóg kulę nosi, wśród

majaków nocy, i mimo t. zw. „Büchsenlichtu“ o precyzyi nie może być mowy, czem zaś dokładniejsza broń, tem zawód pewniejszy. Tu większego prawdopodobieństwa potrzeba — garstka ołowiu prędzej do celu prowadzi — tu cały sekret, aby przypuścić zwierza na jak najbliższą metę i korzystać według możności z chwili, okupionej ofiarą nieprzespanej nocy. Coś tam z masy rozrzuconego ołowiu dojdzie miejsca przeznaczenia, a gdy się zdarzy sposobność strzału w skupione stado, wtenczas dopiero taką armaturą święcisz tryumfy wprawdzie niezbyt myśliwskie, ale materyalnie doniosłe, ale odpowiednie hasłu, pod którem na takie łowy wyszedłeś.

Pomimo, a może dlatego właśnie, że kalendarz przepowiadał naprzód powietrze „zmienne, a potem deszcz i wiatr“, lało niezmiennie coś przez 6 dni a potem około 13 lipca zajaśniała pogoda i nietylko Eolus ale nawet drobne zefiry pozamykały swe buzie. Jeszcze na zachodzie pałały pożegnalne dnia purpury, a już w przeciwnej stronie nieba wysuwała się wielka, pomarańczowa tarcza dobiegającego pełni księżyca. Kilka paśmistych chmurek kryło z początku blaski pożyczonego światła, ale wnet utonęły one za lasami, zorza zachodnia zagasła i po czystym już niebie płynęła łuna posrebrzając coraz silniej całą w snach nocy letniej pogrążoną naturę.

Zwyczajny nocny przesmyk dzików leżał o kilkaset kroków od mieszkania, pod gęstym zapustem jodłowym i olchowym rozlegał się sporny teren, na który teraz podążałem w towarzystwie gajowego, hołdującego również co do armatury w takich wyprawach tym samym, co i moje, wyobrażeniom. W dowód tego dźwigał on starego autoramentu karabin ogromnego kalibru, literalnie naładowany wilczakiem własnego wyrobu. Wziąwszy w środek ślady stada dzików, stanęliśmy pod ścianą lasu na brzegu nieszczęsnych kartofel.

Pomimo, że księżyc posuwał się coraz wyżej po czystym firmamencie, jakoś mglisto niewyraźnie było na ziemi; kilka razy próbowałem się złożyć, ale nie szło; dopiero po przyklęknięciu na tle nieba rysowały się nieco wyraźniej kontury przedmiotów, na tle ziemi rozpływało się wszystko w jakichś nieuchwytnych kształtach; to Jupiter pluvius tak surowy w tym roku płatał takie figle, przesycona wilgocią ziemia zionęła parą a ta znów osłaniała wszystko w półprzeźroczej woalce. Staliśmy już dobrą godzinę, rosa coraz gęstsza spadała i w miarę tego rozjaśniał się mglisty widnokrąg — lecz cicho było na świecie, nic nie wskazywało zbliżania się jakiejś żyjącej istoty, a tylko wśród cieniów boru przeciągały miłosne iskry świetlików (Lampyris noctiluca vulgo robaczkiem św. Jańskim zwany), wirując wśród drzew lub zapadając na ziemię lub w gęstwię igliwia.

Wśród takiej ciszy i spokoju w naturze wyławia słuch najrozmaitszą fonetykę, która w innych razach wcale uwagi nie zwraca. Tam w baldachimach koron drzewnych skrzeczy delikatnie, szczególnie w ciemnych olsznikach szemrze coś i spadają na ziemię jakieś drobne cząsteczki; to zapewne sześcionoga zwierzyna biesiaduje tam w najlepsze w liściu, w korze, a bądź niedojadki bądź pomiot biesiadników spada na ziemię z przeszkodami, odbijając się o liście i drobne gałązki i wytwarza w ten sposób szmer nieustający. Chwilami coś tam zaszeleści doraźnie w koronach, to zapewne jakiś ptaszek poprawia się w swej pozycyi nocnej, nastrasza pierze chroniąc się od rosy, zakłada znów główkę pod skrzydło i dosypia krótką noc letnią. Są to wszystko wrażenia drobne ale łącznie wzięte składają się na ten orzeźwiający powiew życia, jakiem na nas działa nawet tak zwana cicha natura. To nie cisza grobu — ale życie milionów otacza nas dokoła, spełniając swe wielkie zadania w prawidłowym kole przyrody, które jednak tak często krzyżują nasze kulturne plany i zamiary.

Ale cyt! jakiś dobitniejszy szelest dochodzi ucha z dalekiej gęstwiny, trzasła sucha gałązka przy ziemi — lecz już wyraźnie słychać tentent stąpania przerywanego, i ocieranie się ciał o przyziemne gałązki. To one! nie ulega już żadnej wątpliwości, tak brutalnie nie stąpa żaden inny zwierz knieji. Pomimo, że oko ludzkie żadnych wrażeń w ciemnej knieji wyłowić nie jest w stanie, mimowalnie zwracasz się w tę stronę, skąd zbliża się tentent stada. Nie liczyłem ile razy w tej chwili uderzało tętno, a byłaby to rzecz ciekawa, do jakiej to pracy pobudza serce emocya myśliwska, wali tam wśrodku jak taranem, rozmaite młoteczki uderzają w piersiach i w pulsach, coś ciśnie za gardło, niby dech zapiera, a wzrok halucynuje i wśród ciemności dostrzega majaki nieistniejących kształtów. Żyjesz chwilę jakby w samym oxygenie i potrzeba silnej woli, aby zapanować nad sobą, odróżnić prawdę od pozorów, które pobudzona imaginacya wytwarza. Stan taki długo trwać nie może, bo wyczerpuje niesłychanie, ręka od trzymania broni w gotowej pozycyi omdlewa, i wreszcie i ta w wzrok i w słuch zmieniona statua myśliwego mimowolnie upomina się o swe prawa organiczne. Czym przestąpił z nogi na nogę, czym się dotknął jakieś gałązki, tego już nie pamiętam, dość że tentent raptem się urwał, i potem niestety zaczął się oddalać. Czy mnie co zdradziło, czym był winnym zmiany w kierunku przechodu, o tem trudno coś pewnego powiedzieć, po za materyalnemi i dobrze zrozumiałemi przyczynami, leży cały świat nieokreślonych jeszcze uczuć na dystans, które mogą także tętnić w sercu gruboskórca.

Dość, przez chwilę słyszałem jeszcze łomot pochodu, szły one gęstwiną równolegle do granic lasu i dopiero na jakie 150 kroków od mego stanowiska dostrzegłem czarne masy wynurzające się na pole. Początkowo zbita czarna kupa rozpatrzywszy się w sytuacyi poczęła się wydłużać czarnem pasmem, które się wnet roztopiło bez śladu wśród pola kartoflanego Zrozpaczony niemal takim rzeczy obrotem, po przebyciu mąk Tartalowych, jąłem się przesuwać jak kot na miejsce świeżego tropu, towarzysz mój, połapawszy się w sytuacyi również to samo uczynił i nawet znów trop świeży dzików leżał pomiędzy nami i znów minęła długa godzina wyczekiwania. Może powrócą? Dziki jednak były widocznie innego zdania; my tu czekamy, że już się nogi trzęsą od stania, a one tymczasem gdzieś w drugim końcu pola łupią moje kartofle. Przebrała się już miarka cierpliwości — podszedłem do mego towarzysza i szeptem jakim chyba tylko „po mogiłach wiatr jęczy“ poleciłem mu dalszy plan kampanii. Chłop wyuczony do zresztą całkiem zwykłej w takich razach taktyki, oddalał się brzegiem lasu aby okrążyć dziki na polu i zajść im z przeciwnej strony. Północ już się zbliżała, na zachodnim widnokręgu tonęła już jasna gwiazda w znaku skorpiona, mrugała jaskrawo w zenicie Wega Łąbędzia. Żaden kochanek z takim pietyzmem nie rwie listków stokroci, powtarzając starą jak świat kabalistyczną formułkę, z jakim ja teraz przebierałem sznurki kutasika kapczukowego, który wisiał na guziku surduta, wrócą — nie wrócą — i wreszcie wyszło „wrócą“ — bo jak zwykle zacząłem „odwrócą“, od dobrego, a nieubłagana arytmetyka nie mogła powiedzieć co innego, gdy w kutasie była nieparzysta ilość sznurków.

Zatem wrócą. — Lecz dlaczegoż jeszcze nie wracają wszak mój towarzysz już być musi po drugiej stronie? Może kutas zdradził — może dziki powędrowały dalej i poszedłszy ugor za kartoflami utonęły w dalszych la-

sach? Powiał lekki wietrzyk od strony, w którą zwróconą była cała moja uwaga i doszły mnie brzęki pęt pasących się tam koni i przeraźliwe „a hu, a hu“! pastuchów. Jeszcze chwila brzękań i wrzasków i posuwa się wśród pola naprzód poruszający się punkt czarny. Punkt rośnie w coraz większą czarną plamę, wreszcie rozwija się wyraźnie w rozerwany łańcuch zwierza, dziki idą w ubocznej linii, zbaczają nieco od dawnego tropu, jednak już są na dobrą metę, a strzelba przy oku wybiera miejsce i chwilę najlepszego strzału. Jeszcze czas, jeszcze przyjdą bliżej, jeszcze kilka potężnych uderzeń tętna, i wreszcie palec ciągnie odwiedziony cyngiel w chwili ostatniej, gdy zwierz już miał wskoczyć krótkim galopem w mroczny cień drzew, księżyc już bowiem zniżył się na zachodzie, kładąc długie cienie po wschodniej stronie lasu. Dwa strzały jeden po drugim rozdarły powietrze i odbiły się echem po sąsiednich borach, lecz to zwierza z tropu nie zbiło szły one dalej w wytkniętym kierunku i jakkolwiek mało już co z tego widziałem, ale za to słyszałem z bliska łomot galopu, wreszcie wszystko utonęło w gęstwi lasu, skąd dolatywał jeszcze przez chwilę trzask i szelest, oddalając się i słabnąc coraz bardziej. Jakkolwiek na wschodzie już pierwsze zapalały się brzaski dnia wschodzącego, w kniei zalegała ciemnia tak, że nie było sposobu posuwać się za świeżym tropem dzików, stałem przeto na mem stanowisku pod lasem, wyławiając uchem oddalający się łoskot pochodu zwierza.

Poszły — za małą chwilę znów tajemnicza cisza zalegała knieję, słyszeć było można spadające rosy kropelki otrząsane leciuchnym powiewem od strony bliżającego się wozu Apollina. Głupio mi się jakoś zrobiło w duszy — nie przespałem noc — wygarnąłem dwa razy „na słaby rzut kija“ kaduczną porcyą ołowiu, no i nic z tego, oprócz że się wykąpałem po uszy w kastalskich zdrojach uroczej przyrody, sukcesu żadnego zresztą, a szkoda, nieodżałowana szkoda, bo taka sposobność nie zbyt często się zdarza. Ale po tych czarnych myślach przelatujących jak błyskawica po rozgorączkowanej mózgownicy, przyszła refleksya w odwrotnym kierunku. Wszak strzeliłem dobrze, wytrzymałem zwierza do ostatniej, najlepszej chwili — to przecież tak na sucho obejść się nie mogło, przecież czułem zwierza na celu, ile to razy po najlepszych strzałach do dzików odnajduje się postrzałka na daleką metę?

Dość, że znów zajaśniała nadzieja, której już żadne zwątpienie wykoleić nie mogło, tem więcej, że z głębi kniei gdzieś od najbliższej debry zarosłej gęstą krzewiną doleciał urywany łomot, jakby uderzenia patykiem po gałęzi. Łomot się powtarzał w przyśpieszonem tempie, trzaskały gałązki. — A więc jest, jest niewątpliwie — takiego łomotu nie czyni zwierz zdrowy — słania się tam dobrze gruba zdobycz, cena nieprzespanej nocy.

Po takim ruchu już nie powstanie, jest tego zdania i mój nadchodzący towarzysz, przysłuchując dolatującym z kniei uderzeniom. Biedak ten przewałęsawszy się całą noc, i wyciumlawszy wszystkie możliwe smaki z krótkiego cybuszka swej fajeczki tak, że go teraz już drugim końcem obrócił, miał słuszną pretensyę do jakiegoś udziału w zdobyczy, szczytem jego życzeń były głowa i rapcie jako surowy materyał do wyrobu t. zw. drahli (studzienina), a tej jego pożądliwości starałem się zawsze zadość uczynić.

Świt już na dobre wdzierał się pomiędzy gąszcze debry — księżyc wybladły w powiciu chmurek tonął na zachodnim niebioskłonie, nad debrą stał długi wóz, dłuższy jak potrzeba, a na nim w podłuż leżała już jedna gruba sztuka, spory wycinek ku szczególnej radości mego towarzysza z ogromnym łbem i potężnemi rapciami. Wprawdzie ja tej anomalii jakoś dopatrzyć się nie mogłem, ale dopatrzył ją gajowy i powtarzał radośnie po kilka razy: „Ałeż to łob jak makitra, a nohy jak u byka“. Już mieliśmy ruszyć w tryumfalnym pochodzie ku domowi, chłopcy ze służby folwarcznej nawoływali się do honorowej asystencyi, przybywszy tutaj jako jeden mąż w komplecie, gdy z głębi lasu doleciały wrzaski, wprawdzie niezrozumiałe w szczegółach, ale nadto wyrażające co się tam w ogóle stać mogło. Dwóch z chłopaków, wyszukując po krzakach najodpowiedniejsze biczyska do batogów, natrafiło na ślady farby na gałęziach przyziemnych, poszli dalej za nią i znaleźli czego się i ja nie spodziewałem: jeszcze jedną sztuczkę, która nie wiedzieć w jaki sposób po otrzymanym w łeb postrzale dowlokła się aż tutaj o jakie 100 kroków dalej od miejsca, gdzie znaleziono pierwszą sztukę. Wóz wobec oznak najwyższego zadowolenia wszystkich zgromadzonych dopełnił się tak, że aż głowa tego rudego i niedorosłego roczniaczka zwisała z tyłu i cała karawana ruszyła. Słońce już pierwszym promieniem oblało ziemię, po krótkim ale orzeźwiającym śnie nocy letniej wszystko budziło się do nowego życia, wszystko się kąpało w kryształach rosy i falach światła, tylko w głębokiej debrze, zkąd przed chwilą wywlekliśmy nasze zdobycze, zalegały sine cienie poranku. *Non perdidi noctem* — a uwierzą w to prawdziwi myśliwi.



AQUILA IMPERIALIS?...

Mała kwestja ornitologiczna.

Kwestya, którą tutaj chcę poruszyć, zainteresować powinna nietylko specyalistów ornitologów, a wyświetlenie jej przydałoby się w każdym razie, gdyż pokutuje ona jak duch, zaklęta w jednem z najbardziej znanych i rozpowszechnionych dzieł, jakiem jest Brehma „Życie zwierząt“. Nas jednak szczególnie sprawa ta obchodzić powinna, gdyż chodzi tu o gatunek ptaka nie byle jakiego, który ma się znajdować w naszym kraju, ma się u nas gnieździć, a tymczasem — nie posiada go żadne z naszych muzeów jako okaz krajowego pochodzenia.

Kwestya ta mianowicie przedstawia się tak:

Przy opisach orła zyza i przedniego (*aquila chrysatas* i *aquila fulva*) znajdujemy u Brehma w jego *„Thierleben“* następujący ustęp:

„B a r d z i e j z n a n y m od poprzednich jest orzeł cesarski czyli królewski (*Aquila Mogilnik. imperialis, heliaca, riparia, falco Mogilnik, melanaetos, imperialis*)“

Po opisie tego gatunku powiada Brehm dalej co następuje:

„Obszar rozsiedlenia się orła cesarskiego jest bardzo rozległy, gdyż sięga od Węgier aż do Chin. W Niemczech należy ten ptak według dotychczasowych spostrzeżeń do największych rzadkości, jednakowoż odwiedza je w przelocie częściej, aniżeli przypuszczamy. O i l e n a s z e d o t y c h c z a s o w e d o ś w i a d c z e n i a s i ę g a j ą, g n i e ź d z i s i ę o r z e ł c e s a r s k i w e W ę g r z e c h, *Galicyi*, S i e d m i o g r o d z i e, R o s y i, n i z i n i e n a d d u n a j s k i e j, p ó ł w y s p i e b a ł k a ń s k i m i t. d.“

Brehm więc utrzymuje napewno, że wspaniały ten ptak gnieździ się u nas, że nasz kraj jest jego ojczyzną.

Tymczasem nie posiada go dotąd Muzeum im. Dzieduszyckich, a przecież, gdyby to był ptak u nas osiadły, pośród tyluset okazów orłów, które to muzeum posiada, lub które mu przysłano, byłby się przecie musiał znaleść jakiś okaz tego gatunku. O ile nam jednak wiadomo nie posiada gatunku tego krajowego pochodzenia żadne z muzeów naszych. Co więcej w dziele Taczanowskiego „Ptaki krajowe“ str. 35, wymieniony jest jedyny egzemplarz młodego ptaka w pierwszem pierzu ubitego w r. 1874, znajdującego się w gabinecie zoologicznym warszawskim.

Jakżeż więc to wytłómaczyć. Czy myli się Brehm, wymieniając kraj nasz jako ojczyznę tego orła, albo u nas dotąd nie umiano go poznać, biorąc go za orła innego, znanego u nas gatunku.

To drugie przypuszczenie jest jednak prawie niemożliwe ze względu na to, że orzeł ten przedstawia dość wielkie charakterystyczne różnice, a nawet sam Brehm powiada że różnica ta jest tak w oczy wpadająca, że można go pomieniać tylko z pokrewnym mu orłem książęcym (*Aquila Adalberti*).

Z kwestyi tej jednak wyłania się jednocześnie druga, która może posłużyć nam trochę do wyjaśnienia całej.

Nazwa łacińska, użyta przez Brehma na oznaczenie orła cesarskiego, *Aquila Mogilnik*, świadczy o słowiańskiem pochodzeniu. Użył jej pierwszy Samuel Georg Gmelin, znany z opisów fauny ornitologicznej Rosyi.

Rzączyński zaś nazwy „Orzeł Mogilnik“ używa na oznaczenie gatunku „orzeł orlik“ (*Aquila naevia*). Ten gatunek, jak wiadomo, jest u nas rzeczywiście pospolitym i gnieździ się. Sam słyszałem nazwę „Mogilnik“ na oznaczenie tego orła z ust wieśniaków w niektórych okolicach.

Mógł tu więc powstać cały szereg pomyłek. Gmelin nazwę zasłyszaną u ludu przypiął orłowi cesarskiemu, Brehm zaś z brzmienia słowa „Mogilnik“ wywnioskował, że gatunek taką nazwą ochrzczony musi chyba być bardzo pospolitym w polskim kraju, kiedy nawet w nomenklaturze łacińskiej otrzymał polską, (bo za taką ją właśnie uważał Brehm) nazwę. Byłoby więc w każdym razie pożądane, ażeby przyrodnicy nasi zechcieli się zająć tą kwestyą, nasuwającą wątpliwości i nie przyczyniającą się wcale do jasności i ustalenia nomenklatury naszych krajowych gatunków, gdyż dopóki nie zostanie ona wyświeconą, zawsze mylić się będzie można.

Dlaczego w muzeach krajowych niema tak pospolitego ptaka, jakim jest, (a raczej według Brehma ma być) orzeł cesarski?

Edmund Walter.

Juhas, strzelec tatrzański.

Coś niby „der Alpen-Jaeger“ Schillera.

„Chcesz baranki paść, mój synku?
Baran jestto nie zły gad.
„Siądziesz w cieniu — dla spoczynku,
„A on trawkę będzie jadł.“

Matko! puść mnie w dzikie góry,
„Co się wzbiły aż pod chmury.
„Puść mnie matko! nad granicę.
„Chcę polować na kozicę.“

„Nie chcesz z trzodą zbiedz w doliny?
„I na świeżem sianku spać?
„Krówki pójdą w połoniny,
„Ty na rogu będziesz grać“.

„Matko! puść mnie w dzikie góry,
„Co się wzbiły aż pod chmury,
„Puść mnie Matko! nad granicę
„Chcę polować na kozice“.

„Niechcesz synku, pójść do szkoły?
„Czytać, pisać uczyć się? . . .
„Bez niewielkiej to mozoły.
„Może los tam spotkać cię.
„Możesz zostać organistą;
„Lub w becyrku dyurnistą
„Możesz zostać też doktorem
„Lub w Krakowie profesorem.“
„Puść mnie matko! w dzikie góry,
„Co się wzbiły aż pod chmury:
Organista chleba nie ma!
„Dyurnistę bieda trzyma!
„Doktor tylko ludzi truje...
„A profesor w głupstwach kuje?
Idę, matko! ku granicy.
„Ja chcę strzelać do kozicy.“

———

Chwycił juhas broń ze ściany...
Nabój loftek przybił kłakiem.
I jak gdyby opętany
Pobiegł w góry znanym szlakiem...
Na Zawratu szczyt się wdziera....
Tam Łomnica sterczy w dali
Morskie Oko tam spoziera.....
Krywań w chmur srebrzystych fali
Przed nim po przez jary. skały.
Mknie kozica lotem strzały.

———

Tuż po nad przepaści brzegi,
Jakby ptasie skrzydła miała.
Mknąc przez turnie, kędy śniegi ....
Nad urwiskiem się wstrzymała.
Krok w krok za nią — z strzelbą w dłoni
Mężny juhas ciągle goni.

———

Więc ze łzą ropaczy w oku.
O litość dla siebie prosi
Próżno!!!... Wstrzymał się wśród skoku,
I do twarzy broń podnosi.!...
Padł strzał — loftki zagwizdały...
I zwierz w przepaść — spadł ze skały.

———

Nagle — u krawędzi skały
Staje starzec — jak śnieg biały!
Siwa broda — kubrak siny —
I okropnie strasznej miny.
Czy to widma?!!! Czy to mary? !!!!..
Nie..... Leśniczy to był stary!
I wyciągnął obie dłonie — . . .
Krew w juhasa skrzepła łonie...
On za kołnierz chłopca chwyta...
Wali pięścią w kark.... nie pyta!
I rzekł głosem pełnym grozy:
„Za tę kozę — chodź do kozy!
„Kłusowniku!... Śmierć zagładę
„Ty śmiesz wnosić w mą posadę?!!
„Sejm kozicom dał swobodę
„Czego gnębisz moją trzodę??“

Leopold Starzeński.



DZIKIE GOŁĘBIE.

(Wspomnienie z młodości).

Napisał
ABGAR SOŁTAN.

[Ciąg dalszy]

— Bóg ją tam wie, kto ją przedtem tam nosił, i kto z niej strzelał... Ja wiem, żem ją kupił od uradnika tereckich kozaków, Sobierajewa. — Zdarł szelma ze mnie za tę gwintówkę czerkieską kulbakę i dziesięć karbowanych w srebrze... Poganin, na bumażkę nawet patrzeć się nie chciał.

Chociaż w innym dniu Kazik godzinami by gadał, o dzigitach i Szamilu, wówczas jednak przerwał rozmowę i obiecawszy, że za tydzień odwieziemy strzelbę i przyjedziemy znowu na preferansa, co prędzej zabierał się do naszej łodzi.

Ilko spał w nadbrzeżnej łozinie i zrobił ogromne oczy, kiedy nas zobaczył, uzbrojonych w połyskujące nowiusieńkie na oko strzelby, do takiej broni on nie przywykł był... w jego wyobraźni strzelba myśliwska powinna była być zardzewiała, powiązana sznurkami, o nadszczerbionem, popękanem łożu...

Kapitan odprowadził nas aż do brzegu i serdecznie

zapraszał, żebyśmy do niego częściej przyjeżdżali. — Obiecaliśmy solennie i Ilko odbił łódź od brzegu. Kazik nie chciał tym razem sam wiosłować szedł na przyłęczu naprzeciw mnie, widocznie chciał mi coś powiedzieć...

Mrok już padał zupełny, Ilko pędził łódź ze zdwojoną szybkością. Na pagórku, nad brzegiem widać było słuszną postać kapitana jak machał białą czapką i wołał co mu głosu stało:

— Do widzenia! A w niedzielę, w południe, proszę na pulkę.

— Haka ci dam pieczonego na rewanż — mruknął sam do siebie Kazik — a to kanalia morska.

— Cóż on ci winien? — spytałem zdziwiony tym wybuchem.

Na to Kazik podniósł się na nogi, rozkrzyżował ręce jak do błogosławieństwa i w najwyższym stopniu komicznym głosem zawołał.

— O ty rozmarzona niewinności, o ty nowonarodzone dziecię, kwiatku niezapominajki, to ty ośle nie wiesz, żeby nie ja, to on ciebie byłby ogolił, przy pomocy tej czarownicy Charitony, na jakie kilkaset rubli... I ty byłbyś mu oddał... Oh, bo ja znam twoje szlacheckie fantazye... Byłbyś poleciał do Narcyza Pomiana i bylibyście gdzieś u żyda pumpnęli, aby napchać kapitańską kabzę... Ale nie ma głupich, Kondraszek także nie darmo grał w preferansa. Zębami chciał kapitanisko gryźć, ale nie ugryzł. — Nic z tego, grałem jak drapieżny żyd i jakoś obronną ręką wyszliśmy z tego.

— Winien ci jestem dwadzieścia kilka rubli — odpowiedziałem smutnym głosem, zastanawiając się, zkąd wydobędę te pieniądze.

Kazik zerwał się znowu ze swej ławeczki i porywczym głosem zawołał:

— Nie bądźże idyotą!

Wnet jednak znowu usiadł, bo łódka przybiła raptownie do brzegu i tak się wstrząsnęła, że niepodobna było na niej ustać na nogach.

Ilko tymczasem wskoczył w wodę i zapomocą sznurów starał się dociągnąć łódź do suchego miejsca, to mu się nie udawało zrazu, wskutek tego Kondraszek rozgniewał się do reszty i zaczął nam wszystkim wymyślać od idyotów i niedołęgów i nagle jednym susem tak skoczył z łodzi, że znalazł się od razu na suchym brzegu. Później chwycił z rąk Ilka sznur, i w kilka chwil mnie z łodzi dociągnął do siebie. To nadzwyczajne bohaterstwo wprowadziło go w doskonały humor. Swoim zwyczajem schwycił mnie za szyję, wycałował i przytem mówił:

— Wiesz, że nie spodziewałem się, żeś ty takie kolosalne, niebotyczne, piramidalne oślisko... Toś ty koniu chrystusowy myślał, że ja zabiorę ci pieniądze tak jak ten kapitanisko, który musi być szuler z powołania i zajmuje się zapewne specyalnie ogrywaniem takich panieńskich natur, jaką ty, z przeproszentem, jesteś?.. Ależ bo ty jesteś rura! Ty nie masz najmniejszego pojęcia o grze, a siadasz.

— Przecież się nic tak strasznego nie stało — przerwałem mu, trochę rozdrażnionym głosem nie rad, że mi tak dokucza moią nieudolnością w preferansowym kunszcie.

— Powiadasz, że się nic nie stało! — wybuchnął Kazik. — Pewno, że ci głowy nikt nie uciął, ale kilkadziesiąt rubli przegrałeś tam, gdzie się ma przegrać dwa lub trzy. Gadasz, że ci się nic nie zostało... Dobrze ci mówić, jak ja grałem od początku do końca, na to żeby ciebie ratować i ten muzułmanin to zobaczył... Ho, ho! Gdyby on był znalazł drugiego takiego jak on to, byliby cię wyczesali... Rachuj tylko, że wyszedłeś na wszystkie mizerki, choć wszystkie były łapane, ale mnie się łapać takiego tumana, jak ty nie chciało... Pamiętaj, żebyś mi do kart nigdy nie siadał. Nie masz do tego zdolności..

Nudzić mnie już zaczęła ta reprymenda, więc zwróciłem naszą rozmowę na temat kobiet widzianych u kapitana.

— Śliczne one obydwie, ale takie same cyganki jak ich pan... Po oczach jednej i drugiej poznaję, że za rubla dałaby się szelma powiesić... To już taki gatunek... Wszystkie dojarki i ogrodowe dziewki u was to inny gatunek, mają charakter i serce, a te to takie same, jak miejskie małpiony... No, choć do domu, bo ciemno i późno.

Poszliśmy inną, dalszą drogą, którędy zwożono drzewo materyałowe do spławu na Dniestr... Droga była szeroka i bezpieczna baryera odgrodzona od przepaści, na dnie której szumiał wartki strumień i w kilku miejscach tworzył wodospady, wydające wśród nocy, dziwnie smutne, jednostajne i monotonne odgłosy. Gwiazdy jaskrawo świeciły na ciemnem, szafirowem, letniem niebie i mrugały do nas zalotnie.

Szliśmy obok siebie w milczeniu, zadumani, zamyśleni. Pamiętam, że wieczoru tego snułem marzenia o mej przyszłości. Były one zupełnie inne, niż późniejsza rzeczywistość. O czem wówczas myślał Kondratowicz tego mi nigdy nie powiedział.

Powrót nasz do domu był tryumfem nie lada. Wprawdzie umówiliśmy się z Kazikiem, że o smutnie zakończonej grze w preferansa nic nie będziemy wspominać, lecz za to pyszniliśmy się przed pannami zdobytem strzelbami i zapowiadaliśmy olbrzymie tryumfy myśliwskie.

Zaraz po wieczerzy poszliśmy do oficyny zorganizować jutrzejsze polowanie. Ilko najadłszy się do woli w piekarni, czekał naszego przybycia i był głównym członkiem narady.

Po różnych egzotycznych projektach podawanych przez nas obydwu, a oblewanych zimną wodą racyonalnej krytyki przez skeptycznego gajowego, stanęło na tem, że wybierzemy się jutro przed świtem łódką pod skały babczyńskie w celu strzelania skalnych gołębi.

Projekt ten Ilko popierał w ten sposób:

— Kuropatwy na Murdzewie albo są, albo ich nie ma, a choć i są, to bez psa nic panicze nie zrobią, można chodzić i cały dzień, a nic nie spotkać... Taki sam interes i z przepiórkami.. A gołębie są, bo ich stadami widać co dnia.

Stanęło więc na gołębiach.

Poszliśmy spać marząc o celnych strzałach. Ilko miał nas zbudzić o trzeciej godzinie, pospiech ten w wyruszeniu na wyprawę zdawał się nam być intergralną częścią poważnego polowania“.

* * *

Pamiętam, że mi się wściekle nie chciało owego poranka wstawać.

Po wczorajszej pieszej podróży i emocyach preferansowych zasnąłem snem kamiennym. W marzeniach sennych widziałem pannę Jadwigę na krużganku jakiegoś fantastycznego, średniowiecznego kastelu, siedziała w cudnej szacie z purpury i złotogłowiu, niby królewna zaczarowana; w ręku trzymała wieniec z liści dębowych...

W koło niej tłum pięknych dam i walecznych rycerzy.. Patrząc w nią w jak tęczę, podjeżdżałem do stóp krużganka na wspinającym się „Staszku“, a na środku zamkowego podwórca leżał zemdlały Poraj-Rozen, którego pokonałem w zawziętym turnieju.

Już miałem wziąć „dank“ z rąk pięknej królewnej, gdy nagle obudził mnie ze snu głos Kazika:

— No wstawaj u licha... Targam cię od pięciu minut i rozbudzić nie mogę... Ano! auf!

Marzenia prysły jak bańka mydlana Bańką też mydlaną były. Przetarłem oczy, ziewnąłem ze dwa razy rozpaczliwie i spojrzałem błagalnym wzrokiem na Kondraszka. Wzrok ten mówił: „daj mi się przespać choć kwadransik“ — słowami jednak tego nie powiedziałem, bom się bardzo wstydził zdradzić przed Kondraszkiem jakąkolwiek bądź miękkością.

Na mnie nie ma błagania, mój z granitu kuty towarzysz odpowiedział stanowczo:

— Wstawaj! Ani chwili nie mamy do stracenia.

Westchnąłem ciężko i jednym susem wyskoczyłem z łóżka na podłogę

Przygotowania do wymarszu trwały zaledwie pięć minut. Nawiasem mówiąc obydwaj staraliśmy się pozować na traperów amerykańskich, na nieustraszonych łowców, o których mieliśmy utrwalone pojęcia, z lektury amerykańskich powieści. Coopera. Do starej borsuczej torby pożyczonej od Ilka włożyłem kawałek suchej kiełbasy i dwa zaschnięte półgąski z dwoma kawałami chleba razowego... Co prawda, że panna Anna proponowała mi świeżą szynkę i doskonałe butersznity, ale odrzuciłem tę propozycyę. uważając ją za niegodną „starych zabijaczy niedźwiedzi“.

Głód miały zaspokoić zapasy niesione przezemnie. Na zaspokojenie zaś pragnienia wziął Kondraszek z karczmy od Moszka flaszkę wódki, którą zlał w jakąś odwieczną manierkę znalezioną na strychu... Specyał ten skonsumował później Ilko, bo tak czuć go było niedogonem, że żaden z nas pomimo silenia się na brawurę, jednego hausta tej wódki nie mógł przełknąć...

Tak uprowidowani ruszyliśmy przed wschodem słońca w pochód.

Świat był owego poranku cudowny. Szary świt budzącego się dnia otulał wszystkie widziane przedmioty fantastycznym jakimś mrokiem, mgłą czarodziejską i sprawiał, że wszystko wydawało się daleko piękniejsze, doskonalsze, wspanialsze... Drzewa były większe i zieleńsze, budynki wyższe i bielsze: nawet chwasty i bodyaki przydrożne robiły wrażenie jakichś krzewów cieplarnianych.

Cisza panowała głucha, tylko świerszcze polne z bohaterskiem zacięciem odgrywały swój zwykły koncert poranny.

Szliśmy milcząc i podziwiając.

Zbliżaliśmy się do Dniestru tą samą drogą, którą przybywaliśmy wczoraj, a jednak jak inne wrażenie wywierał ten krajobraz dziś, otulony mgłą przedświtu, jak wczoraj oświetlony jarzącymi promieniami południowego słońca.

Stanęliśmy nad skrajem stromej skały, iść musieliśmy dziś o wiele uważniej, bo obfita rosa sprawiała, niemiłą ślizgotę i schodząc w dół trzeba było uważać pilnie, żeby noga nie usunęła się ze ścieżki. Spojrzałem w dół, pod nogi. Dolina Dniestru wydała mi się wówczas jakąś bezdenną otchłanią wypełnioną dziwacznymi kłębami mgły, splatanymi w oryginalne kontury i pasma, które tam w głębi przewracały się, mieszały między sobą, rwały, szarpały i niby walki jakieś okrutne staczały. A działo się, to tak cicho, że nawet szmer najlżejszy tych, walk nie zdradzał. Nagle z tej ciasnej otchłani, huknął głos jeden potężny i odbił się echem stokrotnem po szarych sylurskich załomach, po lasach i debrach nadbrzeżnych.

— Hej! Hej! Ruszaj!

Wołał widocznie starszy flisak na swych podkomendnych.

W ślad za tym głosem rozległ się plusk wioseł licznych i dalsze nawoływania:

— Ruszaj! Ruszaj!

— Kieruj się na prawo.

— Hej! Pierwszy spław zawracaj na lewo!

— Odbijaj!

Głosy te wydobywały się z tego mglistego waru i w tem otoczeniu dziwacznem wydawały mi się wówczas jakiemiś fantastycznemi, tajemniczości pełnemi nawoływaniami, z po za świata rzeczywistego płynącemi.

Odgłosy te zatrzymały nas na jakiś czas nad spadzistością w milczeniu i głębokiem zadumieniu. Po grze uczuć na twarzy Ilka zrozumiałem, że i na tem dziecku przyrody ta wspaniała chwila, pełna dziwnego, niewytłumaczonego uroku robiła równie silne wrażenie jak i na nas. Pierwszy otrząsł się z tej zadumy Kondratowicz machnął ręką, jakby odpędzając jakiś czar, otaczający go ze wszech stron i przygryzając usta szepnął:

— To ci widok psia kość... Niechże mi go jak bazgracz opisze, lub odmaluje...

Wnet później zwrócił się do nas i zawołał:

— Ale my chodźmy, bo czas uchodzi i wkrótce później zacznie się znowu upał nie do zniesienia.

I począł zbiegać po stromej, niebezpiecznej ścieżce daleko lepiej niż robił to wczoraj. Patrzący mógłby myśleć, że wyrósł tu i od dzieciństwa przyzwyczaił się chodzić po tych karkołomnych urwiskach.

Nad rzeką czółno i wiosła czekały na nas. Wsiedliśmy pospiesznie i zaczęła się tu czarowna żegluga. Mało poranków miałem w życiu, którychby piękno przyrody tak jasno i wyraźnie przemawiało do mej duszy, jak ów, w którym wybraliśmy się byli na te nieszczęśliwe gołębie. Wszyscy trzej chłonęliśmy poprostu w duszę owe cudowne wrażenia wszystkimi porami, a każdy w swój własny sposób, wskutek tego nie mówiliśmy prawie nic z sobą tylkośmy patrzyli w około i nadsłuchywali tajemniczych oddechów potężnej rzeki.

Dniestr zdawał się budzić ze snu głębokiego... Oddychał powoli, bujnie. Zwolna wyswobadzał się z mgieł białych, które jak powijaki, jak puchowe okrycia, do snu go były miękkiego upowiły. Mgła ta unosiła się już miejscami w górę, miejscami znowu muskała jeszcze powierzchnię wód, jakby z żalem rozstając się z Dniestem, niepewna swych dalszych losów w powietrznych przestworach.

Nagle od „tureckiego brzegu“ jaskrawy promień słońca przedarł skłębione tumany mgły i pierwszy odblask czerwonego, jaskrawego światła drasnął uśpione, ciche głębiny. Dniestr się nagle zbudził... Resztki mgły uniosły się w powietrze, prąd wody raźniej ruszył i zaczął wydawać ów szmer tajemniczy, który rybacy i flisacy nazywają „oddechem rzeki“. Dniestr odetchnął zrazu smutno i tęskno; wnet jednak poweselał i z zaspanego starca stał się ochoczym młodzieńcem.

I nas nagle opuściła zaduma, zapanowało wesołe usposobienie, a Kondraszek z przesadnym sentymentalizmem począł śpiewać:

— Na kamieniu stoi kamień.
Podolanka siedzi na nim.
Przyszedł do niej podoleniec.
— Mościa panno, daj mi wieniec!

— Hu! ha! Daj mi wieniec! — zawołał wesoło, aż echo się zaśmiało i rozradowało od tej wesołości... Potem zwrócił się do mnie i zapytał: — Więc co będzie? Jak nastrzelamy tych gołębi, to pojedziemy z nimi jak żydówki z synogarlicami do świątyni... do panny Jadwigi, a ona rozczuli się tem pieczystem i po obiedzie padnie ci w ramiona i szepnie czule: „Kocham cię pogromco dzikich gołębi“.

Tak mi było jakoś swobodnie i wesoło w owej chwili, że nie rozgniewały mnie nawet drwiny Kondraszka. Patrzyłem szczęśliwy w około i świat się cały uśmiechał do mnie. Śmiało się słońce jasne i brzegi okoliczne... Śmiały się fale przeźroczne... Śmiał się cały, stary, kochany Dniestr.

Zdawało mi się, że uśmiechał się on poczciwie, dobrodusznie i szeptał z cicha: — „Kochaj mnie chłopcze, a i ja ciebie wiernie miłować będę zawsze, do śmierci.“ I przyjaźń ta nasza nie ochłodła przez lata ani trochę i dziś jeszcze raduje się moja dusza, gdy znajdę się czasem nad brzegiem ukochanej rzeki, z rozkoszą wciągam w znużone piersi rozkoszny oddech tych wód wspaniałych i marzeniem mem jest usłać sobie gniazdo trwałe na jego skalistych brzegach i w niem doczekać się spokojnej starości.

Czółno płynęło szybko; poszarpane urwiska i skaliste nadbrzeżne szczyty znikały jedne po drugich. Po godzinie pospiesznej żeglugi, minęliśmy ostry zakręt dniestrowy i ujrzeliśmy nagle olbrzymie, nagie, babczyńskie skały, które miały być ową błogosławioną ojczyzną milionów skalnych gołębi. Wskazówki kapitana były prawdziwe... Już z daleka dostrzegliśmy całe stada tych lotnych ptaków, krążących w około skalnych rozpadlin.. Serce mi bić zaczęło, myśliwy się we mnie obudził; patrzyłem na te ptaki szybujące pod niebem, nie już jak na sposób zdobycia wzajemności p. Jadwigi, tylko jak na zdobycz myśliwską, którą wkrótce będę mógł się poszczycić.

Łódka pod gorączkowemi uderzeniami wioseł Kazika i Ilka coraz bliżej podpływała ku swym upragnionym miejscom.

Wkrótce znaleźliśmy się tuż pod skałami, obok których gołębie krążyły. Cóż, kiedy radość nasza była przedwczesna. Pierwszy Ilko skonstatował fakt, że gołębie krążą tak straszliwie wysoko, że żadna strzelba do nich nie dosięgnie. Ja zrazu oponowałem, ale Kondraszek z niechęcią przyznawał słuszność twierdzeniu Ilka... Nie chciałem za nic zgodzić się na to; schwyciłem długą gwintówkę kapitańską, nabitą dość grubym śrutem i zmierzywszy się w górę strzeliłem. Huk się rozległ okrutny, echo stokrotne rozniosło go na milę w około, ale żaden gołąb nie zachwiał się nawet. Ten był tylko skutek, że zamiast kilkunastu srebrno szarych ptaków, krążących przed chwilą nad naszemi głowami, zjawiło się ich nagle kilkaset, była ich tak gęsta kupa, że aż cień padł na rzekę, poprostu niby chmura jaka przesłoniły słońce. Wzburzenie to jednak nie długo trwało, polatały kilka minut i znowu zapadły w swe skalne gniazda, tylko kilkanaście znowu zostało i oddawały się dalej bez przeszkody ćwiczeniom w lataniu...

Kondraszek przygryzł usta i zawołał z gniewem:

— Nic z tego nie będzie! Kpią sobie z nas.

Nie odpowiedzieliśmy nawet na ten rozpaczliwy okrzyk, nie mogliśmy znaleźć sposobu zbliżenia do upragnionej zwierzyny. Milczenie trwało kilka chwil, aż wreszcie znowu Kondraszek go przerwał, mówiąc:

— Nie ma innego sposobu, musimy drapać się po tej skale, ażeby zbliżyć się na strzał. Inaczej daremny zachód.

Popatrzyłem na te skały, dla oka wydawały się zupełnie pionowe i przeraźliwie gładkie, prawie ślizgie. Zaprotestowałem więc stanowczo i pod żadnym warunkiem nie pozwoliłem Kondraszkowi, który nie był zupełnie oswojony z drapaniem się po skałach, puszczać się na to karkołomne przedsięwzięcie. Tłómaczyłem mu, że jest moim gościem, że ja odpowiadam za jego zdrowie i całość jego członków i błagałem na wszystko, żeby się nie narażał.

— Ja co innego — kończyłem z brawurą — ja od dziecka po tych skałach łażę, polezę i dziś i zobaczysz, że nie nadarmo.

Sprzeczaliśmy się o to jeszcze kilka minut, żaden z nas nie chciał ustąpić, ale ostatecznie dzięki rozsądnej interwencyi Ilka, który stanowczo zadecydował, że Kazik nie ma odpowiednich kwalifikacyi do wspinania się po tak stromych skałach, stanęło na tem, że ja jeden spróbuję szczęścia.

Nabiłem kapitański garłacz silną porcyą prochu, „żeby daleko niósł“, wpakowałem podwójny może nabój śrutu i puściłem się z dobrą fantazyą na niebezpieczną wyprawę... Szło mi to wcale nieźle, po szarych, chropowatych łupkach sylurskich wdrapywałem się wyżej i wyżej, miałem ten instynkt, żem nie spozierał po za siebie w dół, tylko wzrok miałem utkwiony w krążące u szczytu góry gołębie, które nawet nie przypuszczając ze strony ludzkiej takiej zuchwałości, krążyły swobodnie dalej, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Strzelbę, co prawda dość ciężką, miałem zawieszoną na szyi i piersiach tak jakoś wygodnie, że mi zupełnie nie zawadzała. Jak długo się wdrapywałem, tego niewiem dokładnie, nie byłem w stanie zdawać sobie dokładnie sprawy z upływu czasu. W drapywanie nie szło mi nawet zbyt trudno; skała na pozór tylko była tak równa i gładka, w rzeczywistości jednak miała bardzo wiele załomów i nierówności, po których jak po szczeblach drabiny można się było wspinać wyżej i wyżej. Dokuczały mi tylko strasznie takie załomy, które pod działaniem powietrza zwietrzały były zupełnie, choć na pozór zdawały się być twardą skałą, jednak pod ciężarem mego ciała rozsypywały się w proch prawie i zsuwały się w dół, pociągając za sobą inne kamienie tak, że powstawały z tego powodu istne lawiny. Kamienie, które ze strasznym hukiem i łoskotem staczały się w przepaść i wpadały do Dniestru.

Po jakimś czasie wydało mi się, że jestem już w połowie wysokości góry. Widziałem cały tłum gołębi nad swą głową, postanowiłem strzelać. Rozejrzawszy się w koło siebie, spostrzegłem o jakie kilka metrów powyżej na prawo kawałek skały wystającej jak balkon z gładkiej ściany, na którym rosły mchy, porosty i kilka chwastów liściastych. Po pewnym wysiłku udało mi się dostać do tej jak sądziłem — bezpiecznej przystani. Usiadłem tam zupełnie wygodnie i z zimną krwią, rozważnie wycelowałem strzelbę w grupę krążących tłumnie ponad moją głową gołębi... Rozległ się huk strzału... I z największą radością ujrzałem, że aż dwa ptaki zachwiały się, opuściły skrzydła i zaczęły spadać w dół. Zrazu spadały wolno, poniżej coraz szybciej.

Przeleciały tuż obok mnie tak, że mi się zdawało, iż mogłem wyciągnąwszy dobrze rękę, pochwycić je w powietrzu... W tej chwili opuściła mnie rozwaga, radość moja była tak wielka, żem zupełnie zapomniał o możności istnienia jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Byłem ogromnie ciekawy, co się z zastrzelonymi ptakami stanie: czy spadną jeszcze na brzeg, czy już do wody? I czy w takim razie Kondraszek i Ilko potrafią je wyłowić z wody?

Spojrzałem po raz pierwszy w dół pod siebie i — wszystko się skończyło... Widocznie musiałem dostać zawrotu głowy, bo pociemniało mi całkiem w oczach i straciłem pamięć. Ostatnim błyskiem samowiedzy była myśl o strzelbie pożyczonej od kapitana. Pamiętam, że błyskawicznie zjawiła się w mym umyśle obawa, że spadając w dół, koniecznie muszę połamać strzelbę w drobne kawałki; zdobyłem się więc na tyle jeszcze przytomności, żem ten czerkieski zabytek bardzo ostrożnie złożył na przyłęczy pod samą ścianą. W tej chwili uczułem, że cały „balkon“ zaczyna się pod mym ciężarem usuwać. Poleciłem duszę Bogu, zamknąłem oczy i trzymając się bezwiednie, bezmyślnie rękami i nogami ściany, chwytając się instyktowo każdej nierówności, począłem się wraz z mym „balkonem“ osuwać pośpiesznie w dół... Wrażeń z tej niemiłej jazdy nie pamiętam zupełnie, bom nie miał najmniejszej samowiedzy, co się ze mną dzieje...

Przyszedłem dopiero do przytomności pod wpływem bardzo miłego ochłodzenia... Otworzyłem oczy i spostrzegłem, żem był w wodzie. Kondraszek trzymał mnie na rękach i w ten sposób utrzymywał na powierzchni. Szarpnąłem się i stanąłem na dnie swemi nogami o własnych siłach. Zanurzyłem głowę w wodę i wydobywszy się ztamtąd, wróciłem zupełnie do przytomności... Spostrzegłem wówczas, że Kondraszek taki zimny i rozważny, spoziera na mnie z niepokojem... Spytałem go śmiejąc się:

— Czegóż tak patrzysz na mnie jak wystraszona baba?

— Bodajby cię wszyscy dyabli porwali, — zawołał porywczo — jakiegoś mnie strachu nabawił... Sunąłeś się z tamtąd z takim impetem, żem myślał, że się rozbijesz na drobne kawałeczki... Tymczasem chwała Bogu jesteś względnie cały, ale za to z twego ubrania zostały poprostu strzępki... z rękawów nici... a to co, osłania kolana prawie zupełnie znikło z tego świata.

Spojrzałem na moje ręce, od dłoni do łokci i wyżej nie miały zupełnie skóry, były strasznie czerwone i krew się z nich obficie sączyła. Dopiero wówczas uczułem ból dotkliwy. Z ciekawości wyszedłem z wody na płytkie miejsce, ta sama historya była i z nogami, które miały zdartą całkowicie skórę od stóp aż do kolana i były haniebnie okrwawione. Przyznam się, że mi się żal mej skóry zrobiło i miałem przez chwilę bardzo kwaśną minę. Wnet jednak zrozumiałem, że to właściwie jest prawdziwem bohaterstwem zdobywać zwierzynę dla swej bohdanki z narażeniem własnego życia. Poszukałem wzrokiem tę zdobycz, trzymał ją w ręku Ilko i śmiał się ironicznie. Gdy dostrzegł, że patrzę nań i na gołębie, przemówił niby do mnie, niby do siebie samego:

— Te dwa gołębie warte złotówkę, a surdut, spodnie i koszula panicza pewno kosztowały kilka rubli... *Ot tobi harazd*! Tęgi profit z polowania!

Nie chciałem mu tłumaczyć, że właściwy „profit“ mego polowania będzie czysto duchowej, idealnej natury, a byłem pewny, że będzie on wielki, ogromny.

Ilko zrozumiał, że lekceważę jego słowa i jakby mszcząc się na mnie zapytał:

— *A kto znese rusznyciu?*

Prawda! Dopiero w tej chwili przypomnieliśmy sobie, że to mordercze narzędzie, z którego uśmierciłem te dwa nieszczęśliwe grzywacze, zostało zawieszone między niebem a ziemią, w połowie skały. Przyszło więc nam na myśl, że strzelba ta należy do kapitana, który może kazać sobie Bóg wie wiele za nią zapłacić. Spojrzałem błagalnym wzrokiem na Ilka i nieśmiało szeptałem:

Ilko, spróbuj może ją zniesiesz. (C. d. n.)



Na czatach.

Na zimę!

Gdyby myśliwy mógł przewidzieć łagodną zimę, ileżby to można zaoszczędzić na pożywieniu dla zwierzyny! Ponieważ jednak w takiej sprawie i najdoświadczeńszy myśliwy jest złym prorokiem i najczęściej spotyka go to, co najczujniejszego gospodarza domu, nie wiedzącego, o której godzinie złodziej do niego zawita, i zamykającego wskutek tego codziennie dom swój na dwa spusty — przeto co roku prawdziwy myśliwy musi sięgnąć do swej kasy myśliwskiej, aby zaopatrzyć się w środki żywności dla zwierzyny, które zresztą jeszcze przed nastaniem zimy przygotowane być powinny. Jestto rzeczą zupełnie naturalną.

W ostatnich latach pisano tyle o tej palącej kwestji, że doprawdy trudno się zorjentować, jaka właściwie żywność jest korzystniejszą dla zwierzyny: mokra czy sucha, co jest pożyteczniejszem, a co szkodliwszem — i my obecnie nie mamy też najmniejszego zamiaru dawania jakichś wskazówek, lecz jedynie chcemy skorzystać z uwag doświadczonych myśliwych.

Ostre zimy ubiegłych lat wykazały konieczność żywienia zwierzyny, tak w górach jak i na płaszczyznach — i oto powstał między myśliwymi spór co do sposobów zaradzenia złemu. Co jeden wczoraj zalecał jako rzecz korzystną, opartą, na swojem własnem doświadczeniu, to jutro odrzucał drugi, jako rzecz „w wysokim stopniu“ szkodliwą i niepraktyczną. Jeżeli naprzykład sarny chciwie pożerały w razie braku innej żywności siano, to poprostu zalecano to jako najlepszy środek wyżywienia, nie czekając zupełnie skutków, jakie to pożywienie wywrze na uratowaną rzekomo zwierzynę.

Że jedno i to samo nie nadaje się dla wszystkich okolic, że najróżnorodniejsze stosunki żerowe w różnych okolicach wymagają też różnych rodzajów sztucznego wyżywienia — tem się nie zajmowano wcale.

To też w interesie tak naszego zwierzostanu, jak i naszych myśliwych leży, aby tę kwestyę wobec nadchodzącej zimy zbadać jak najdokładniej i my w tym celu jak najchętniej otwieramy łamy naszego pisma w tej niepłonnej, jak sądzimy, nadziei, iż nasi doświadczeni myśliwi zechcą w sprawie tej głos zabrać i swemi cennemi doświadczeniami podzielą się z ogółem naszych czytelników. Będzie to i zasługą dla łowiectwa polskiego wogóle i połączone z korzyścią dla naszego zwierzostanu.

Czekamy zatem!

OSTATNI NIEDŹWIEDŹ.

(Ciąg dalszy)

— Nie, panie Michale, gdyby to była niedźwiedzica — ciągnął dalej leśniczy — nie patrzyłaby ona na pana... Ona by wam pokazała...

— Niedźwiedź już dlatego samego straszny — przerwał mu Kunz — *weil er grösser ist.*

— Jak się na jaką wpadnie. A zresztą nie we wzroście tu rzecz. Czy pamięta pan, w Głębokiem — zwrócił się do pana Michała — była zupełnie mała, a co bestya narobiła!

— Tak — potwierdził pan Michał — pokazała, co umie.

— Jak jeden grosz czternaście osób pocharatała.

— Raniona? — niby zapytał, niby podpowiedział Kunz, który chociaż sam znał doskonale ten wypadek, ale z chęcią usłyszałby raz jeszcze jego szczegóły.

— Siedziało w niej więcej, niż pół tuzina kul. Wszystkie naboje powystrzelali, doszło do walki na pięście.

— A sama mała?

— Chuchro takie... Wyszła najpierw na Baszkowicza... Umyślnie na to polowanie przyjechał, więc jako gościowi dano mu najlepsze stanowisko. Wyszła też na niego. Stoi jak zuch prawdziwy. Wytrzymał jak należy i w odległości dwunastu kroków pakuje w nią dwie kule. Zatrzymała się... i dawaj! wprost na niego wali. On zaczyna na nią wrzeszczeć, machać strzelbą i ryczeć wreszcie. Nawymyślał jej porządnie, naklął na czem świat stoi, a ty taka, ty owaka... Zatrzymała się znowu na chwilę. Podbiegłem sam. Staliśmy blisko, najwyżej o dwadzieścia kroków. Wpakowałem w nią również kulę... Drugi raz już nie zdążyłem wystrzelić. Jak mnie bestya trzepnęła, aż się w śniegu zaryłem. W pasie jakby mnie ktoś gorącą wodą oblał. Miałem na sobie kożuszek, oglądali go potem wszyscy, jakby go ktoś nożem przeciął. Kamizelka i koszula też przecięta. Rzuciła mnie na ziemię, a sama do starego Twarkowskiego. Widocznie nie mógł wytrzymać na miejscu, biegnie do nas z pomocą, a ona sadzi wprost na niego. Stanął i wypalił. Trafił czy nie, nie wiem, ale drugi raz już mu nie pozwoliła wyrżnąć. Od razu wzięła go pod siebie. Baszkowicz podskoczył i zaczął ją po łbie walić przykładem. Zostawiła natychmiast Twarkowskiego i zabrała się znowu do Baszkowicza. Ten jakoś usunął się na bok, przeleciała obok niego i natknęła się na Piotra Bielechowskiego, który także przybiegł z pomocą. Temu się porządnie oberwało. Jak go wzięła pod siebie, tak wszyscy myśleli, że już po nim... Do tej pory jest kaleką, strasznie mu nogę porwała. Podbiegłem, ale bałem się strzelać, aby przypadkiem nie trafić w Piotra. Twarkowski przyszedł do siebie i zaczął ją znowu walić przykładem po łbie.

— I już więcej nikt nie strzelał?

— Nie, ktoś jeszcze potem wypalił dwa razy, a potem już wcale nie można było strzelać... Za wiele ludzi się zbiegło... Do koła narodu było, jak nabite. A ona dalej

nas czesać. To tego chwyci, to tamtego. Bóg był jakoś łaskaw, wszystko poszło mniej więcej szczęśliwie. Tylko jednego Piotra potarmosiła porządnie. a innym to tak: jednemu gębę rozerwała, drugiemu plecy podrapała. Wszyscy jej przeszkadzali, a uchwycić nie można było.

— I długo to trwało?

— Tego już powiedzieć nie umiem, ale spory kawał czasu.

— No i jakże się z nią załatwili?

— A Baszkowicz ją dobił. Jakoś z tyłu ją zaszedł i wystrzelił w sam łeb. Upadła.

— Ty także tam byłeś? — zapytał pan Józef brata.

— Stałem daleko; zanim dobiegłem, już było po wszystkiem.

— A śmiechu mieliśmy z nią jeszcze dosyć — ciągnął leśniczy, uśmiechając się. — Już martwa, a tak nas przestraszyła, że ha!

— A to jakim sposobem?

— Ostatnia kula wpadła jej tak w łeb, iż się zaryła mordą w śniegu tak głęboko, że i ducha z siebie wypuścić nie zdążyła.

— Został jej w pysku — objaśnił pan Michał.

— Jak z nią skończyliśmy, nie prędko przyszliśmy do siebie, chłopi zebrali się z naganki i zaczęli ją podnosić. Zaledwie tylko wyciągnęli łeb ze śniegu, a tu duch wyleciał.

— No, no!

— Jak Boga kocham, prawda! Westchnęła jak żywa. Tylko u... u... uch! A chłopi jak wezmą nogi za pas! Zmykali tak, że ich potem długo nie można było spędzić do kupy. A chociaż nam wtedy nie było do śmiechu, śmialiśmy się wszyscy do rozpuku.

— Nie do śmiechu było?

— Jeszcze by też! To nie żarty, ale czternastu strzelców pokaleczyła. Jednego tu, drugiego tam. Biednego Piotra jak sobie przypomnę, to mi się straszno robi. Oderwała mu kawałek łydki. A i ten poczciwiec się śmiał. Sam jęczy, a nie może wytrzymać i śmieje się.

— A ciebie długo bolało?

— Oj długo, ze sześć tygodni.

— Nie gadaj stary, nie gadaj — przerwał mu pan Michał. — W tydzień potem był znowu na obławie, na łosie jeździliśmy.

— Nie, myli się pan. Polowanie na łosie było już prawie na wiosnę, a w tydzień potem pojechaliście bezemnie na niedźwiedzia w barłogu.

Pan Michał zadumał się, jakby starając się przypomnieć sobie.

— Rzeczywiście — potwierdził pan Józef — na niedźwiedzia chodziliśmy bez niego.

— A co panie Michale — zwrócił się do niego Kunz — czy na niedźwiedzia w barłogu nie pójdziemy kiedy?

— Próbowałem — uśmiechnął się pan Michał — mam tego dosyć.

— Dlaczego?

— Zakląłem się i więcej nie pójdę.

— Czyż tak niebezpiecznie?

— Nie w tem rzecz. Widzicie, na barłóg można iść w dwóch, trzech, a nas zebrało się dwunastu.. Jak zaczęli strzelać, tak przestałem i myśleć o niedźwiedziu... Rzuciłem się na śnieg i leżałem, a kule mi brzęczały nad głową jak pszczoły.

— No, a tak w mniejszem towarzystwie, tak jak teraz naprzykład, we czterech?

— W swojem towarzystwie to inna rzecz, nie zgubimy się. To ten przystanie, to tamten.

— Myślałem, że i dzisiaj któremu z nich przyjdzie ochota iść śladem — zauważył pan Józef.

— Gdyby się wielu znalazło, nie poszedłbym.

— Tak, to lepiej, *dass wir allein sind* — dodał Kunz.

— Im mniej, tem lepiej — zakonkludował Sas.

— A jutro nadjadą...

— Jutro, dobrze, tylko mi się coś zdaje — dodał niespodzianie Sas, — że jutro polowania nie będzie.

Wszyscy spojrzeli na niego zdumieni.

— Nie dożyje — ciągnął tonem współczucia.

— Być może — zgodzili się wszyscy, a w ich tonie głosu czuć było także pewien żal.

— Dwie kule, to nie żarty i obie tak zbliska.

— Ty w piersi waliłeś? — zapytał pan Józef brata.

— Niezupełnie... Stał trochę bokiem, tylko łeb ku mnie odwrócił... Zdaje się, że nie mierzyłem dobrze. Wątpię bardzo, czy kula poszła mu w piersi.

. . . .

Łojowa świeczka dogorywała.

Trzeba się było kłaść spać.

Przez maleńkie, na poły zamarzłe okienko, wdarły się blade smugi światła księżycowego.

Pan Michał leżał na ławce, zarzuciwszy obie ręce pod głowę, a sceny z ubiegłego dnia żywo mu się przesuwały przed oczyma. — Znużenie brało górę nad wszystkiem, senność go ogarniała, a jednak sen, ten prawdziwy sen nie przychodził. Od czasu do czasu lekki dreszcz przebiegał mu po ciele; otwierał oczy i mimo woli patrzył w okno.

Zalane światłem księżycowem kupy śniegu oślepiały go i oczom jego ukazywała się bezbrzeżna, zaspami pokryta równina śniegowa... Wdali, nie zachęcający, ciemny las i ołowiane nad nim zwisłe niebo... Nigdzie życia, nigdzie dźwięku... Dokoła — nikogo. Jak tylko okiem sięgnąć, ani jednej żywej istoty.

* * *

Wczesnym rankiem wyruszono w dalszą pogoń za niedźwiedziem.

Dunaj i Wisła zdążyły na czas, a jeżeli na pomoc ich nieszczególnie liczono, to w każdym razie udział ich w polowaniu mocno wszystkich zajmował. Kwestya, co to z tego będzie, zajmowała wszystkich i służyła jako główny temat rozmowy, w której szeregowały się wyrażenia nadziei i wątpliwości, być może niezupełnie konsekwentnie.

— Nie pójdą — było przekonaniem pana Michała, ale pan Józef i Kunz byli odmiennego zdania.

— W każdym razie biedy nie będzie, jeżeli i nie pójdą... Jeżeli zaś pójdą — to polowanie będzie doskonałe!.. Słyszałem, że na Sybirze zaganiają niedźwiedzi psami...

— Tak, ale tam psy są inne, u nas o takich nawet nie słychać, aby niedźwiedzia bito z pod gonu.

— Dlaczego z pod gonu?.. O gonie nikt nie mówi... Żeby tylko znalazły...

— Znaleść — to i sami znajdziemy.

— Należy przypuszczać, że już skończył — powtarzał z kolei Sas, który widocznie się starał nie wypowiadać w zupełności swego zapatrywania. Silnie obstawał przy tem, aby przywieziono psy, a tymczasem sam wątpił o powodzeniu tego przedsięwzięcia i dlatego uważał za rzecz najrozsądniejszą nie przechylać się ani na tę, ani na tamtą stronę i nie pozbywać się ostatecznie możliwości przymknięcia do tego obozu, który będzie miał słuszność.

Dunaj i Wisła była to para doskonałych gończych

Prawda, znawca możeby natrafił na pewne trudności, gdyby chciał z całą doskonałością określić przeważającą w nich krew... Mięszanina była nadzwyczaj skomplikowana; mimo to jednak były to dwa rosłe i silne gończe, które nie raz już złożyły dowody, iż dobra sława o nich w okolicy miała swoje podstawy. Wisła była dowódzczynią sfory pana Michała, a Dunaj, jeżeli jej pod tym względem nie dorównywał i odgrywał drugą rolę, to w każdym razie był to jeden z wyżłów, których na polowaniach nie co dnia się spotyka.

Obydwa psy były ulubieńcami pana Józefa, a obecność ich stanowczo go poruszała, jak również i Kunza, który wogóle w poglądach, a tem więcej w zapatrywaniach tego rodzaju, godził się zupełnie ze swoim przyjacielem.

— Bezwarunkowo pójdą — mówił do pana Józefa — *ich versichere Sie!*

— Jeszcze by też! Naturalnie, że pójdą — godził się pan Józef, chociaż w głosie czuć się dawała pewna wątpliwość nieprzyjemna.

Myśliwi przeszli przez rzeczkę po moście i szli drogą, oddzielającą nadbrzeżne krzaki od młodnika. Niedźwiedź przeszedł przez nie u samego brzegu, to też myśliwi wkrótce natrafili na jego ślad.

Że niedźwiedź poszedł w młodnik — to było już wiadomem naprzód, ale czy pozostał w nich, czy też posunął się dalej, to pytanie.

W celu rozstrzygnięcia tej kwestyi Sas proponował, aby objechać młodnik, co nie było trudnem do zrobienia, gdyż z jednej strony przylegał on do pola, gdzie naturalnie niedźwiedź nie pójdzie, a z drugiej, między nim a wysokim lasem, na samym kraju tego ostatniego szła druga droga, po której można było przejechać i wyjaśnić wszystkie wątpliwości.

Wszyscy jednak nie mogli jechać, a puścić Sasa samego — znaczyłoby przesiedzieć w izbie bezpotrzebnie przynajmniej dwie godziny bez żadnego zajęcia.

Wobec tego propozycyę Sasa odrzucono i postanowiono natychmiast iść śladem licząc na to, że jeżeli wskutek tego będą musieli zrobić kilka tysięcy kroków, to to nie zaszkodzi.

Zatrzymawszy się na tropie, towarzystwo, rozmawiające dotychczas głośno przez całą drogę, zniżyło głos, a chociaż nie było żadnych podstaw do przypuszczania, iż zwierz znajduje się blisko, mimo to w ruchach i w mowie pojawiła się ta szczególna powściągliwość, która dowodziła, iż polowanie już się rozpoczęło.

Wszyscy, jak to mówią, nastawili uszu.

— Cóż, puszczać? — zapytał Sas prawie szeptem, wskazując na psy, które trzymał na smyczy.

— Zaraz... zaczekaj — odpowiedział również cicho pan Michał, wsadzając naboje do strzelby.

Pan Józef i Kunz opatrzyli również broń, a Sas obejrzał kapiszony swej starej dwururki, z którą się nie chciał rozstać.

— Jaki gąszcz! — rzekł pan Michał, wpatrując się w krzaki, w których ginął ślad.

— To tylko z tego kraju — szepnął Sas. — Dalej już jest rzadziej...

— Cóż, puszczać czy co? — zapytał pan Józef, którego już coś podrywało, aby zacząć jak najprędzej.

Ale pan Michał nie odpowiadał, widocznie namyślając się nad czemś.

— Wiecie co — rzekł po chwili. — Niedźwiedź jest tutaj... Niema po co iść w wysoki las...

— A i mojem zdaniem jest tutaj — godził się Sas — dlatego, że w wysokim lesie jest czysto.

— Tutaj? — zapytał pan Józef, którym pod wpływem ostatnich zdań zaczęła już trząść febra.

Pan Michał uśmiechnął się.

— No nie, tu w bliskości nie łazi, tylko tam w krzakach, a co zatem idzie, nie bardzo daleko... Wiesz co? — zwrócił się niespodzianie do Sasa — dajno wódki!

Wszyscy popatrzyli na niego z nieukrywanem zdumieniem.

— Tak — ciągnął dalej, uśmiechając się. — Rozprawa może się natychmiast rozpocząć, a Bóg wie, kiedy się skończy, nie zawadzi zatem pokrzepić się. Gdy będziemy szli, nie będzie na to czasu.

Logika była niepokonana, przeczyć było trudno, to też wszyscy wyrżnęli po kielichu wódki.

— Teraz puszczaj! — zakomenderował pan Michał.

Sas puścił psy. Oczy wszystkich mimowoli wlepiły się w nie i śledziły każdy ich ruch.

Psy stanęły, wstrząsnęły się, jakby chciały ostatecznie pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, jakie na nich wywierała smycz; widocznie jednak nie spieszyły się z rozpoczęciem pracy.

Na trop nie zwracały najmniejszej uwagi.

Wszyscy oczekiwali z niecierpliwością; psy jednak wstrząsały się ciągle i tarzały w śniegu..

— Ta, ta, ta, ta... a... a! — nie wytrzymał Sas.

Psy wyprostowały się i stały, pomachując ogonami.

— Tu, tu! — wyrwało się Sasowi jeszcze głośniej. — Wisła, bierz go!

Oba psy rzuciły się galopem w krzaki, nie oddalając się od śladu ani na pół cala.

Myśliwi jeszcze raz obejrzeli broń i poszli za nimi. Zaledwie jednak przeszli przez rów przydrożny, gdy nagle przed nimi, nie więcej jak w odległości dwustu kroków, rozległo się ogłuszające szczekanie.

Dunaj i Wisła szczekały w najokropniejszy sposób, jak ostatniego rzędu kundle, a tylko wściekła złość, jaka dźwięczała w ich głosach, i od czasu do czasu wydawane tony w rodzaju skomlenia, pełnego strachu, wskazywały na to, że miały do czynienia nie z baranem i nie z cielęciem.

Myśliwi pobiegli, ile tylko im sił starczyło, w tę stronę i o ile pozwalał na to istotnie wielki gąszcz i zaspy śniegu, sięgające im do kolan.

Nie zdążyli jednak. Zaledwie ubiegli sto kroków, gdy psy wybiegły naprzeciwko nich, z zjeżoną sierścią; ślepia ich płonęły dziko, wściekłą i zaciętą złością; wkulone pod siebie ogony wskazywały jednak jasno na to, że psy stchórzyły po prostu, albo też, że zobaczyły coś takiego, czego jeszcze nie widziały w swojem życiu.

— Bierz go! Bierz go! — krzyczał Sas, nie ustając w biegu.

— Bierz go! Bierz go! — powtarzali za nim inni, pędząc naprzód co siły...

Psy znowu rzuciły się naprzód.

Jeszcze kilka kroków — myśliwi znaleźli się na miejscu, w którem leżał niedzwiedź, a z którego bez wątpienienia dopiero co powstał.

— Patrz — ile juchy, jak z barana...

— Przeleżał tu bestya całą noc!

— Przy samej drodze !?

Głośne szczekanie rozległo się znowu w odległości jakich stupięćdziesięciu kroków.

Myśliwi znowu zaczęli biedz; szczekanie jednak umil-

kło prawie w tej samej chwili, psy powróciły znowu do nogi.

Pan Józef zapomniał, że wśród szczekania słyszał pomruk niedźwiedzia.

— Trzeba go dognać.

Idzie zupełnie cicho..

— Nie ustaniemy, dopóki go nie dogonimy.

— Dalej psy, dalej, bierz go, bierz go!

Psy znowu się rzuciły, i znowu w odległości około stupięćdziesięciu kroków rozległo się szczekanie.

Niedźwiedź szedł, nie zatrzymując się wcale; szedł jednak powoli i widocznie nie miał zamiaru przyspieszać kroku, albo też, co rzecz pewniejsza, nie miał po temu sił.

— Tak, za jakąkolwiekbądź cenę, należy go dognać!

Ale nie było to tak łatwem, jak się z początku wydawało.

Psy rzucały się coprawda raz wraz na niego, ale tchórzyły i umykały do ludzi, jakby szukając u nich obrony, lub zachęty do dalszego ścigania. Jeden okrzyk myśliwych, sam widok ich dodawał psom nowej odwagi, znowu pędziły jak strzała ku niedźwiedziowi, znowu ogłuszały go swem szczekaniem i znowu powracały do myśliwych, jakby szukając u nich poparcia.

Myśliwi tracili niemal siły w pogoni, ale odległość między nimi, a niedźwiedziem nie zmniejszała się wcale. Szedł wolno, widocznie nie zwracając najmniejszej uwagi na psy i nawet nie zatrzymując się w chwilach, gdy go obsiadały; myśliwym jednak dognać się nie pozwalał.

— Nie, tak dalej nie można. Zmordujemy się do ostatka i sił nam w końcu zabraknie.

— Więc cóż zrobimy?

— Trzeba iść wolniej

— Zostaniemy w tyle...

— Stracimy go z oczu zupełnie.

— Będziemy śledzili, dopóki sam się nie zatrzyma.

Rzeczywiście nic innego nie pozostawało do roboty — i myśliwi, zatrzymawszy się na minutę i nabrawszy nowych sił, posunęli się naprzód, tym razem nie spiesząc się już.

Niedźwiedź odrazu odsadził się od nich, a szczekanie psów, które go po dawnemu nasiadły, rozległo się daleko dalej; następnie jednak, jakby drażniąc się z nimi, niedźwiedź poszedł jeszcze wolniej i odległość między nim a myśliwymi znowu się zmniejszyła.

— I jemu jakoś się nie śpieszy, coś mu ciężko — mruknął Sas.

— Tak, ustaje.

— No, może go dopędzimy.

Myśliwi nie mogli wytrzymać i pobiegli znowu; niedźwiedź jednak ściśle trzymał się dystansu i nowa próba dognania go skończyła się fiaskiem.

Znowu poszli wolno.

— Dalej mniejsza gęstwina, a tu przedzierać się przez te krzaki, to doprawdy człowiek wybija się z sił napróżno.

Rzeczywiście, o kilkadziesiąt kroków dalej, krzaki stały się jakoś rzadsze, iść było daleko lżej, to też myśliwi znowu przyśpieszyli kroku, ale znowu bezskutecznie.

— A to człowieka szewska pasja porwać może — rzekł Sas, ocierając pot — z czoła, i miejsce dobre i strzał byłby wygodny.

— Chodźmy do lasu, tam go dostaniemy...

— Nie będzie mógł ujść, odrazu go dognamy...

Ale niedźwiedź nie poszedł do lasu; nie wychodząc z gęstwiny, zaczął silnie skręcać na prawo.

— Cóż on, znowu na pole zawraca, czy co? — zaśmiał się Sas.

— Nie, w pole nie pójdzie, prawdopodobnie chce zawrócić z powrotem w gąszcz...

— Trzeba mu przeciąć drogę!

Myśliwi pod prostym kątem rzucili się w prawo.

Niedźwiedź jednak widocznie domyślił się, o co rzecz idzie i zmieniwszy nagle kierunek, poszedł zupełnie na lewo, jak dawniej, nie wychodząc z gąszcza.

— A to bies — irytował się Sas. — Dyabeł i tyle!

Myśliwi zatrzymali się. Iść dalej nie mieli już sił i krótki odpoczynek był konieczny. Utworzyło się coś w rodzaju posiedzenia jakiejś rady.

Porzucić gonitwę — nie przychodziło nikomu na myśl, ale prowadzić ją dalej w ten sposób, jak się prowadziło dotychczas, było rzeczą absolutnie niemożliwą.

— Trzeba się rozejść — zauważył pan Michał. — Jeden pójdzie za tropem z psami, a inni wyciągną się w łańcuch... Do lasu bestja widocznie iść nie chce; krąży tu w gąszczu.. Może się przecież na któregoś z nas natknie...

— Tak, na tego, który pójdzie z psami, nie wylezie, a na kogoś innego... hm... kto wie, być może.

Wszyscy zgodzili się na to, że ta rada będzie, najlepszą...

Ale kto pójdzie z psami?

Zresztą pytanie to było bezcelowem. W obecności pana Michała ani Dunaj ani Wisła z kim innym nie pójdą, to też mimowoli on musiał wybrać się na trop.

Inni wyciągnęli się w linię po lewej stronie, w oddaleniu około stu kroków, jeden od drugiego. Jeżeli niedźwiedź nie pójdzie do lasu i wróci z powrotem w gęstwinę, spotkanie się jego z jednym z nich będzie rzeczą bardzo możliwą.

Pan Michał poczekał trochę, aby zostawić towarzyszom czas do rozejścia się i potem dopiero ruszył naprzód, krzycząc na psów głośno, ile mu tylko starczyło sił.

Psy żywo dognały zwierza, a zwykłe ich szczekanie rozległo się, chociaż daleko dalej, niż poprzednio, ale bliżej, niż przypuszczali myśliwi, wstrzymani naradą.

[Dok nast.]

MÓJ PIERWSZY WYŻEŁ.

Czternaście lat wiernej, wytrwałej, a zawsze znakomitej pracy miał za sobą mój poczciwy Karo, gdy nie zaznawszy rozkoszy emerytury, odszedł tam, skąd się nie wraca...

Mój wyżeł, rasy czeskiej, a maści białej w bronzowe centki i łaty, nie przechodził wcale tresury i nie uczęszczał do żadnego psiego uniwersytetu — był nieukiem, ale dzięki dobranemu małżeństwu rodziców, przyniósł ze sobą na świat taki zasób inteligencyi i węch tak znakomity, że już w drugiem polu był doskonałym legawcem.

Jako student i bardzo początkujący myśliwy, przepędzałem wakacye w towarzystwie Kara, zawsze od świtu do

nocy ze strzelbą na ramieniu. Pies przywiązał się do mnie niezmiernie i nigdy na krok mnie nie odstępywał, nawet w konnych, kilkomilowych wycieczkach zawsze mi towarzyszył. Dla nas obu najprzykrzejszą była chwila, gdy na wózek wynoszono mój kuferek i strzelbę w futerale, dla mnie oznaczało to koniec niczem niekrępowanej swobody i powrót do greki i łaciny, dla Kara koniec naszych ulubionych wycieczek myśliwskich. Pamiętam dobrze ten smutny wzrok jego i to ciche skomlenie, którem mnie żegnał, jak gdyby mówić się zdawał, bym prędko powracał...

W myśliwstwie nie ja jego, lecz on moim był mentorem, on prowadził mnie na najlepsze pomiarki i najpewniejsze błota, a ja przywykłem poddawać się jego woli. Niezaprzeczenie wielką wadą Kara było, że nie aportował, jednak ubitą zwierzynę zawsze znachodził i czekał przy niej dopóki po nią nie przyszedłem, zresztą i sam nauczyłem się pilnie uważać na miejsce, gdzie ptak upadł tak, że nie było prawie wypadku, by nam coś przepadło. Tak na suchem, jak i na błotach, Karo był nieoceniony, nawet na ciągu słonek pełnił znakomite usługi, gdyż nim zdołałem się zoryentować skąd słonka nadciąga, pies mi kierunek wskazywał. Prawdziwym mistrzem był Karo w polowaniach na przepiórki i kuropatwy, znakomicie też wystawiał cietrzewie i na tem polowaniu, które niejednego legawca do szalonej doprowadza gorączki, był wzorem cierpliwości i rozwagi. Z chruścielem umiał sobie dać radę, bo poznawszy z kim ma do czynienia kilkoma skokami naprzód, zmuszał go do wzlotu. Ten ostatni przymiot jest rzadkim nawet u bardzo dobrych zresztą wyżłów.

Karo miał nadto jedną nadzwyczaj oryginalną właściwość, z której nigdy nie umiałem sobie zdać sprawy. Oto pies mój ślicznie wystawiał i zdaleka sygnalizował kszyka, natomiast zawsze bagatelizował dubelta. Stawał wprawdzie lekko i do dubelta, ale tak jakoś niedbale i zaraz postępował dalej, zupełnie jak pies młody, który stanął do skowronka, a poznawszy, że głupstwo zrobił, odchodzi w bok, prawie wstydząc się swego postępku.

Karo niechętnie nawet chodził po tych znanych nam dobrze tłustych, lekko wilgotnych łączkach, które są ulubionem siedliskiem dubeltów. Nieraz zastanawiałem się nad tem, ale nie doszedłem do żadnego konkretnego wniosku i bardzo byłbym wdzięcznym braciom myśliwym za pouczenie, co właściwie mogło być powodem tego, że pies, który znakomicie wystawiał kszyki i inne bekasy, pies obdarzony znakomitym węchem, tak mało zwracał uwagi na tego opieszałego tłuściocha, błotnego sybarytę — dubelta? Co do mnie podobnej właściwości u żadnego innego psa nie zauważyłem.

Wiele, bardzo wiele mógłbym przytoczyć zdarzeń i wypadków na udowodnienie wyjątkowych zdolności i inteligencyi mego nieodżałowanego wyżła, nie chcę jednak nużyć czytelników opowiadaniem „historyi, jakich wiele“, zaznaczyć tylko muszę raz jeszcze, że Karo służył mi przez całych lat czternaście, co chyba nie często się zdarza. Na tem kończę nekrologię mojego pierwszego wyżła, który w zaraniu młodości był mi najmilszym towarzyszem i przyjacielem wiernym i szczerym.

. . . .

W dzisiejszych czasach waśni społecznych i narodowościowych, haseł burzących i rozkładowych i zaciekłej walki o byt tak trudno o dobrych i szczerych przyjaciół. A mój poczciwy piesek mógł służyć za wzór przyjaźni i przywiązania — o ileż wyżej stoi nawet to nieskończenie niższe stworzenie od zwyrodniałego człowieka, który omamiony przewrotnemi ideami nie waha się podnieść ręki na swego dobroczyńcę... ba nawet ojca, jak to niedawno mieliśmy przykład we Francyi.

Nazurna w czerwcu.

Leopold Łysakowski.

KORESPONDENCYE.

Ossowce, 10. października 1897.

(Porównanie polowań w Królestwie Polskiem z polowaniami na Podolu galicyjskiem).

Dwudziestego września b. r. odbyło się polowanie na kuropatwy u p. Bolesława Skórzewskiego w Chełmie. (Królestwo Polskie, gubernia piotrkowska). Myśliwych było 10, polowano z naganką w ten sposób, że myśliwi szli równo z chłopakami. Niemcy ten rodzaj polowania nazywają: „Streifen“: polskiego wyrażenia na to nie znam i dobrzeby było, ażeby akademia myśliwska wynalazła jakąś nazwę, jak z raubszyca zrobiono kłusownika, lub ze strcki rozkład. Wynik polowania był zaiste zadziwiający; zabito 306 kuropatw i kilka przepiórek. Dużo zawsze opowiadają o ilości kuropatw w Czechach i na Morawii, lecz przekonany jestem, że polowanie w Chełmie w niczem im nie ustępuje. Opolowaliśmy folwark Granice i kilka pól chłopskich, razem około 600 morgów.

Czas nad ranem był bardzo przykry: wiatr z deszczem. Potem niebo się wyjaśniło i słońce się naszym łowom przypatrywało. Kuropatwy były już dosyć bystre i daleko się rwały, przy trochę lepszych warunkach można było zabić z 500 sztuk. Kilku myśliwych z końcem dnia było bez ładunków; padło do tysiąca strzałów. Widzieliśmy zbite stada kuropatw, które wyglądały jak szpaków gromady nad stawem. Było kilka dobrych aportierow, między innemi angielska suka Juno, ozdobiona złotym medalem na konkursie w Warszawie, własność hr. Władysława Potockiego. Ten ostatni był królem polowania, zabiwszy około 60 sztuk. Dużo jednak sztuk zginęło; będą służyły za pokarm mrówkom i robakom, gdyż jastrzębi i lisów tam niema, wszystkie wytępione. Kto jest prawdziwym myśliwym ten zrozumie jak usposobienia nasze były zelektryzowane i jak dziękowaliśmy przezacnemu gospodarzowi, że nas na tak świetne gody zaprosił. Nie czuliśmy zmęczenia mimo dość forsownego marszu po radlonkach kartoflanych i zagonach chłopskich. Wieczorem po dobrym obiedzie każdy miał coś do opowiadania o jakimś swoim nadzwyczajnym strzale. W ogóle w całej tej okolicy ilość kuropatw nadzwyczajnie się pomnożyła, przez pięć dni polowania mniej więcej to samo towarzystwo myśliwych zabiło do 800 sztuk kuropatw. Wysyłane bywają do Warszawy, gdzie je łatwo dobrze spieniężyć można. Okolice te, są to moje rodzinne i przypominam sobie jak przed dwudziestukilku laty ani czwartej części tej ilości zwierzyny tam nie było. Mamy więc dowód do czego można

dojść staraniem i ochroną. Prawda, że okolica ta sprzyja chowowi zwierzyny, są lasy przetrzebione miejscami znacznie, lecz są zawsze krzaki jałowcowe, pod którymi kuropatwy schronić się mogą. Psy, koty i jastrzębie tępią tu niemiłosiernie a co najważniejsze, że to wszyscy robią, nie jak u nas na Podolu galicyjskiem, gdzie się dwóch takich znajdzie na cały powiat. W ostatnich numerach „Łowca“ czytałem artykuły ludzi poważnych i dobrych myśliwych o sprowadzaniu kuropatw z Czech. Bardzo to dobrze i pięknie napisane, lecz śmiem twierdzić, że to są *pia desideria*, jeżeli się spodziewają z tego pięknych rezultatów.

Mamy bardzo piękną przez Sejm opracowaną ustawę, łowiecką, cóż nam z tego, jeżeli wykonanie jej jest zupełnie literą martwą. Są naturalnie wyjątki, lecz niestety mało ich bardzo. Cóż z tego, że u siebie każę tępić szkodniki, płacę grube strzałowe, jeżeli u mego sąsiada jest chów dzikich psów i jastrzębi.

Powinno być zabronione pod karą egzekwowaną naturalnie, że chłopom nie wolno brać psów w pole, choćby na swoje własne, niech sądy i starostwa surowo karzą kłusowników, wogóle niech się wszyscy otrząsą z tej apatyi antimyśliwskiej, a wtedy będziemy mogli sprowadzać kuropatwy z Czech, inaczej staną się one tylko łupem szkodników. Czy kto jest myśliwym czy choruje na wstręt do myśliwstwa, powinien dbać usilnie o porządne przestrzeganie praw ustawy łowieckiej. Znam kilku Panów, którzy bywają na polowaniach, lecz wiem, że u siebie szkodników nie każą dosyć tępić; niestety nie mogę ich nazwać myśliwymi, są to tylko panowie, którzy lubią strzelać dla przyjemności. Prawda, że jesteśmy obarczeni tysiącami kłopotów, podatki, gospodarstwo z nieurodzajem i klęskami elementarnemi i ostatecznie te nieszczęsne przeprawy wyborcze. Jednakże przy każdej pracy potrzebna jest rozrywka, choćby dla tego jedynie, że się potem lepiej pracuje. Polowanie uważać trzeba jako laborum dulce lenimen: jest to uspokojenie umysłu. Niejeden myśliwy przyznać mi musi, że po polowaniu, naturalnie dobrem, czuje mniejszy żal do bliźniego lub sąsiada, że na ostatnich wyborach nie głosował tak, jak on był chciał.

Jedną z głównych przyczyn dlaczego u nas na Podolu galicyjskiem trudno się dają kuropatwy aklimatyzować, są zadymki polne. Zadymka podolska, tak zwana tutaj zawierzucha, jest to objaw, który się właściwie tu tylko spotyka. Mówię o tej zadymce, co to ją wiatr pędzi na kilka metrów od ziemi począwszy. Zadymka taka jest w stanie w krótkim przeciągu czasu całe stado kuropatw zasypać. Główną przyczyną tego jest wielki brak lasów; wiatr pędzi od głębokiej Rosyi aż do nas niczem nie zatrzymany. Dawniej tu tego nie bywało. Mam jeden łan pola, co się zowie: Kuropatniki. Widocznie tam kiedyś za Wazów lub może Jagiellonów bywały kuropatwy, dziś o nich ani słychu. Powinniśmy się starać zakładać po polach laski, choćby najmniejsze, każdy prawie ma u siebie takie miejsca, gdzie się jakoś zboże nie rodzi, niech je zasadzi. W mojem blizkiem sąsiedztwie w Mondzelówce u p. Józefa Krzysztofowicza są po polach takie rozrzucone laski, które doskonale i szybko wyrosły, w nich biedna zwierzyna może mieć schronienie. Polowałem we wszystkich częściach naszej Polski, począwszy od głębokiej Litwy, cywilizowanego Księstwa Poznańskiego i stepów Ukrainy, jestem myśliwym nie od wczoraj, pragnę tedy z szanownymi czytelnikami *Łowca*, podzielić się rozmaitemi zapatrywaniami myśliwskiemi, może i niejednego myśliwego od okazyi, potrafię przerobić na prawdziwego sługę św. Huberta.

Aleksander Potocki.

Sierakowce 11 września.*)

W otrzymanym dziś numerze Łowca spotykam się z narzekaniem szan. Redakcyi na małą pochopność delegatów Towarzystwa łowieckiego do nadsyłania sprawozdań. „Gefährlich ist den Leu zu wecken“, lecz widocznie szan. Redakcya zna dobrze naszą wstrzemięźliwość w pisaniu, że nie lęka się rzucić nam wezwania. — Co do mnie nie mogę brać wyrzutów szan. Redakcyi do siebie, gdyż jestem świeżutko dopiero upieczonym delegatem i to delegatem, że tak powiem drążkowym, gdyż z nominacyą, ale bez instrukcyi. Ale to fraszki. „Wenn Gott gibt ein Amtel i t. d.“ damy sobie tymczasem jakoś radę czekając na instrukcyę.**)

Trudno wyobrazić sobie okolicy mniej sympatycznej dla myśliwego jak Przemyskie i coś równie ubogiego w wszelkiego rodzaju zwierzynę i ptactwo jak nasz powiat. Z malutkimi, z bardzo malutkimi wyjątkami wszędzie przerażająca pustka. — Bardzo różnorodne są przyczyny tego smutnego stanu rzeczy w naszym powiecie. — Najpierw samo położenie powiatu, gdyż większa część przypierająca do powiatów brzozowskiego i dobromilskiego jest krajem górzystym, o ostrym klimacie i zawalnych zimach, o glebie ubogiej, skąpej więc w żer dla zwierzyny. Prócz tego lasy tej okolicy posiadają bardzo mało naturalnej karmy dla zwierzyny, gdyż są to przeważnie młodsze, zwarte zręby bukowe — bez chwastów leśnych jak ożyny, maliny i t. p., to też w zimie w lesie tego rodzaju zwierzyna nie znajduje pożywienia i wędruje nieraz daleko aż do pól obsianych rzepakiem, lub gromadzi się około zeszłorocznych zrębów, gdzie pasie świeży nalot osikowy, pozostawiając setki, a nawet tysiące morgów lasu prawie pustką. Znane knieje w Przemyskiem, gdzie w lesie jest nawet dosyć sarn, ale po pierwszych śniegach ani tropu. Naturalnie, że w tym pasie powiatu i zając do bardzo pospolitych nie należy. Gdy stały przed kilkunastu jeszcze laty stare buczyny i dąbrowy, bywało w naszych kniejach nieraz dosyć dzików, obecnie po exploatacyi starodrzewia, małe tylko stadka sporadycznie i na krótko się okazują. W górskiem tem paśmie tylko jarząbek dosyć licznie występuje i jest obecnie w stadyum rozwoju — Nie dziw temu, lisów prawie niema, drapieżnego ptactwa mało, a człowiek strzela, lecz los śruty nosi, więc mnoży się ten sympatyczny ptaszek i zdarzają się mioty, gdzie po kilkanaście jarząbków wylatuje na linię, grzmi ogromna kanonada, czasem jakaś zbłąkana śrucina spotka się z jarząbkiem, lecz zwykle kończy się na huku i dymie. Równolegle z podgórskim pasem Przemyskiego ciągną się w naszym powiecie porzecza Sanu i Wiaru, począwszy od granic powiatu dobromilskiego aż do jarosławskiego i Mościskiego. Tu żyzna ziemia małe kniejki i łozy. wśród pól obfitość wody, zdawałyby się przyrzekać eldorado dla zwierzyny — niestety tak nie jest — najpierw nie mamy tu prawie prawdziwych myśliwych, więc łatwo dośpiewać sobie, co zatem idzie. — Brak organizacyi łowieckiej, kłusownictwo, polowanie na wszystko co pod lufę wleci, brak zupełny ochrony i t. d. Zajączki liczą się do grubej zwierzyny, sarna rara avis, kuropatw tyle, co na nasienie Było tamtego roku 4 zające, tego jest już 8, a więc radość ogromna, polowanie przez cały sezon i znowu 2 zostało i tak ciągle. — Nie małą też szkodę wyrządza zwierzostanowi w tej okolicy forteca przemyska ze swym ogromnym rejonem fortów, ciągłemi ćwiczeniami i pukaniną i całym regimentem nimrodów, jakich c. k. armia dostarcza. Nie mając błot ani stawów posiada przemyskie nadzwyczaj mało ptactwa, nawet i ciągnące nie-

*] Spóźnione z powodu braku miejsca w poprzednim numerze.
**] Instrukcya znajduje się w 2-gim nr. „Łowca“. [Przyp. Red.]

chętnie u nas zapada, stąd mała ilość słonek, dubeltów i innej lotnej zwierzyny, nawet przepiórki gdzieś się podziały i z roku na rok coraz ich mniej — Jedynie samo pogranicze mościskiego powiatu weselszy przedstawia obraz. Tu ciągną się szeroko latifundya Miżyńca, Bakończyc i Krysowic, gdzie strzeżona i hodowana zwierzyna do pokaźnych dochodzi ilości i zkąd niejedno sąsiednie miejsce, nie koniecznie po myśliwsku zagospodarowane, czerpie swoje zwierzostany. Przemyskie nie posiada tak jak inne powiaty zorganizowanego cyklu polowań, tak jak to bywa gdzie indziej. Idzie to zaczynając słonkami w październiku u sąsiada Jana, kończy się, prawie bez przerwy polując, dzikami i rogaczami u 20-go lub 30-go z rzędu sąsiada w lutym. Trudno też o taką organizacyę; myśliwych tu nie ma, zwierzyny nie ma, sąsiadów nie ma, chyba taki brat Polak mojżeszowego wyznania, który niema czasu, ani pędu do polowania. Nie dziw więc, że u nas cicho i głucho i że łowieckie sprawy odłogiem leżą. — Dużoby u nas trzeba, bardzo dużo, aby się trochę na lepsze zmieniło, a może gdyby i nam, to także i zwierzynie lepiejby było, ale tymczasem smutno i głucho — oj głucho. *Aleksander Przedrzymirski.*

Nikłowice 25. września *)

[Stan zwierzyny — Słonki — Zające — Sarny — Kuropatwy — Ptactwo błotne — Lisy]

Rok obecny można nazwać pod każdym względem rokiem zastoju w gospodarstwie łowieckiem, gdyż nietylko zwierzyny wcale nie przybyło, ale owszem ubyło, a to, co niby pozornie przybyło, nie wyrównało strat naturalnych.

Tak jest w tej okolicy, podobno gdzieindziej tak samo. Zeszłoroczna zima zapowiadała jak najlepsze nadzieje i niejeden myśliwy marzył o przyszłych, świetnych rezultatach na polu łowieckiem, lecz płonne to były nadzieje, wobec tego, co nam wiosna przyniosła.

Wiosenny ciąg słonek przepadł, chociaż liczebnie był bardzo dobry, bo w pogodne dni i kilkanaście sztuk naliczyć nie było rzadkością, lecz niestety tych szczęśliwych dni ledwo kilka było, bo śnieg, który spadł z początkiem kwietnia wypłoszył prawie wszystkie. Jak w każdem niepowodzeniu są czasem chwile jaśniejsze tak i my mieliśmy tego dowód na naszych słonkach; widocznie chciały nas trochę pocieszyć, bo oto kilka parek się zostało i nasze knieje obdarzyły potomstwem. W rewirze Bieńkowa Wisznia, znaleziono bowiem dwa gniazda, a w nich po 3 jaja; z jednego gniazda wylęgło się troje młodych, zaś z drugiem niewiadomo co się stało. — W rewirze Nikłowice znaleziono również kilka młodych słonek dobrze już opierzonych.

Zając u nas niepewny, bo pierwszy rzut zupełnie zniszczał, a dalsze zdziesiątkowane przez długo trwające deszcze; to samo da się i o sarnach powiedzieć.

W polu gorzej jeszcze, bo zupełnie nie ma nic i śmiało można zawołać: cicho wszędzie, pusto wszędzie... co to będzie — co to będzie...

Nigdzie nie ujrzeć przepiórek, kuropatw mało, a nawet i chruściel zaginął, zając chyba na okaz niekiedy się przemknie. Na błotach ptactwa w bród: jak kaczek a szczególnie krzyków, lecz tu znowu wielkie wody bronią ich życia przed pożądliwością myśliwego. — Na wiosnę puszczono w rewirze Bieńkowa Wisznia 20. sztuk bażantów, z których wskutek słot mało się utrzymało, a do tego nasz przyjaciel mykita z połowę sobie przywłaszczył — ogółem zostało do 8 sztuk starych i 2 stadka młode po 7 i 8 sztuk. Wobec takiego stanu rzeczy nie ma tedy wielkich nadziei na tegoroczny sezon myśliwski i dlatego pole myśliwskie trzeba tego roku zostawić odłogiem, by zaszanowawszy stan obecny — zebrać w roku następującym plon podwójny. — Jedyną potrzebą gospodarstwa łowieckiego w ogóle, a tego roku specyalnie powinno być polowanie na lisa, który jako bezwzględny niszczyciel zwierzyny łownej powinien być bezwarunkowo tępiony — przez co również na ilości zwierzyny w roku następnym zyskamy.

Nigdzie szczęścia, ni nadziei,
Ani w polu, ani w kniei,
Co przez zimę nie zniszczało,
To lisowi się dostało!
Więc myśliwi choć też jemu
Skrójcie kurtę po swojemu!

Franciszek Józef Wróbel.

*) Spóźnione z powodu braku miejsca w poprzednim numerze. Przyp. red.

Z Lisowic.

(Polowanie).

Towarzystwo Lisowickie odbyło doroczne swe jesienne polowanie 11 dni trwające w czasie od 12 do 23 października b. r. Osobnej wzmianki trzy pomyślne okoliczności wymagają, które się przyczyniły do świetnego wyniku łowów a dobrą wróżbą na przyszłość napełniają serca Towarzyszy: oto pierwszy raz od czasu istnienia Towarzystwa zastaliśmy w miocie jelenie; dwie łanie wyszły na stanowiska myśliwych, jeleń przebił się przez naganke. Sprawdzono, iż kilka sztuk jeleni przez całe lato stale przebywało w rewirach dzierżawionych — w ślad zatem nadzieja, iż bogate te knieje z czasem zaliczyć będą mogły do swej różnorodnej zawartości i tego króla naszych zwierząt łownych; jest to tem prawdopodobniejsze, iż rozrost jeleni z roku na rok powiększa się zadziwiająco w całym kraju.

Ciąg słonek w pierwszych dniach polowania był niezwykle liczny — słonki zbałamucone wczesnym śniegiem, który grubą warstwą okrył powierzchnię ziemi, już z dniem 5 października, opuszczały co żywo górskie swe pielesze, jeszcze silniej śniegiem pokryte, obdarzając obecnością swą podgórskie, lisowickie lasy; dość powiedzieć, iż jednego dnia padło 33 słonek. Niestety ciąg ten trwał nadzwyczaj krótko; — z dnia na dzień, obawiając się wczesnej zimy, słonki pierzchały, zawodząc nadzieje nasze co do swej obecności podczas całego polowania. Ubito ich 83, co w stosunku do 33 padłych jednego dnia nie jest zadziwiającem — w każdym razie jednak przedstawia rezultat, jakiego dotąd w Lisowicach nie osiągnięto.

Zważywszy, iż na czarnej stopie zabiliśmy 11 dzików, z których świetny rozkład jednego dnia liczył ich 7 ubitych, nadmienić wypada, iż ilość dzików się zwiększyła i dobrze wróży o wynikach na stopie białej. Na 11 sztuk jest tylko 3 warchlaki, 1 dwuletni przelatek — reszta grubsze sztuki, między niemi 2 odyńce, z których jeden olbrzym, istny przedstawiciel górskiej t. z. „karasiowatej“ dzików rasy, o wyniosłym przodzie, ściętym krótkim zadzie, czarny jak węgiel, o siwej głowie, okazałych szablach.

Ogółem ubito 196 sztuk na 561 strzałów, a mianowicie: dzików 11, rogaczy 16, lisów 15, zajęcy 37, cietrzewi 1, jarząbków 27, słonek 83, sów uralskich 4, jastrzębi 1, gołębi grzywaczy 1.

A. K. W.

Żywiec 20 października.

[Polowanie w lasach arcyksiążęcych].

W poniedziałek dnia 18 b. m. odbyło się pierwsze tegoroczne polowanie w dobrach arcyksiążęcych. Polowano z naganką w Bestwinie i Jawiszowcach. Właściciel Żywca, arcyksiąże Karol Stefan brał udział w łowach i z wyniku ich był bardzo zadowolony. Ubito w 14 strzelb: 174 zajęcy, 5 bażantów, 5 cietrzewi, 8 kuropatw i 1 rogacza. W polowaniu brali też udział ochmistrz dworu hr. Egon Chorinsky, jego bratanek porucznik dragonów hr. Chorinsky, hr. Romer z Inwałdu, hr. Bobrowski z Andrychowa, burmistrz miasta Żywca p. Sądecki, dyrektor arcyksiążęcych dóbr p. Dieffenbach i kilku starszych arcyksiążęcych urzędników.

Warszawa 10 października.

[Polowanie w Wilanowie].

Dnia 6. września b. r. w dobrach wilanowskich na terytoryum folwarków Ursynów i Wolica odbyło się pierwsze w r. b polowanie na kuropatwy z naganką. Mimo fatalnej pogody, w 5 strzelb zabito 229 kuropatw. Królem łowów był ordynat Maurycy hr. Zamoyski, który zabił 93 kuropatw w tem 14 dubletów.

W kilka dni potem polowano na kuropatwy z naganką na terytoryum folwarków Moczydła i Wolica. W ośm strzelb zabito 310 kuropatw. Jestto rezultat, jakiego u nas dotąd nikt nie osiągnął.

Patrząc na pasące się po oziminach sarny, których w każdym polnym miocie widziano po kilkanaście, na zrywające się z buraków i marchwi bażanty, wreszcie na te masy kuropatw, zajęcy, zdawało się myśliwym, że są na polowaniu w Czechach, lub na Szlązku, a nie o milę od Warszawy, gdzie jeszcze kilka lat temu zwierzostan w bardzo smutnym był stanie. — Najlepszy to dowód, co może troskliwość i umiejętna opieka przy stosunkowo niewielkich nawet nakładach.

Makuniów 22 października.

[Ciąg jesienny słonek].

Pierwszy raz tej jesieni dzisiaj dnia 22 października zastałem w lesie słonki. Było ich ze dwadzieścia na przestrzeni 12-morgowej. Zresztą w całym lesie nie było ani jednej słonki.

Albert Mniszek.

Sprawozdania pp. delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego.

Makuniów 22 października.

Majątek Mokrzany wielkie obszaru 500 morgów, właściciel p. Parnas. Chociaż właściciel myśliwym nie jest zwierzynę szanuje. Polowania nie odbywają się tu wcale.

Mokrzany małe, 400 morgów, dzierżawca Albert hr. Mniszek. W lasach zwierzyny mało Polowanie odbywa się raz do roku w zimie. Dopiero przed miesiącem właściciel wydzierżawił polowanie podpisanemu delegatowi.

Podliski, 1000 morgów, właściciel p. Jan Janicki, myśliwy. W lasach dużo sarn, zajęcy prawie niema. Polowania odbywają się w rozmaitych terminach.

Dydiatycze, 800 morgów, wł. p Stanisław Bryczyński. Znajduje się tu bardzo mało zwierzyny. Polowanie odbywa się raz do roku w zimie. Właściciel nie jest myśliwym.

Nikłowice i Orchowice, 1500 morgów, właściciel Andrzej hr. Fredro, myśliwy. W lasach zajęcy dużo, sarn mało. Polowanie odbywa się raz do roku w zimie. Zwierzyna znajduje tu troskliwą opiekę.

Kulmatycze, 300 morgów, właściciel hr. Łoś. Ponieważ właściciel sam myśliwym nie jest, nie dba o zwierzynę, w lasach poluje wszystko, co żyje, polowań regularnych niema i zwierzyny wcale w lasach niema.

Woszczańce (powiat Rudki), 500 morgów, właściciel p. Augustynowicz. Zwierzyny niema prawie. Ponieważ właściciel nie jest myśliwym polują wszyscy przez cały rok w zimie i w lecie na zasiadce i strzelają wszystko, bez względu na czas ochrony.

Dmytrowice, 600 morgów, właściciel hr Konarski. Nie mieszka w miejscu. W lasach zwierzyny niema.

Makuniów, 1200 morgów, właściciel Albert Mniszek, myśliwy. Sarn mało, zajęcy trochę więcej. Polowanie odbywa się raz w rok w zimie. Właściciel tępi lisy i inne szkodniki. Zwierzynę w zimie karmi

Stan ogólny: zwierzyny bardzo mało, prócz lisów, których jest dużo. Dużo kłusowników. Myśliwych dbających o zwierzynę bardzo mało, wskutek czego trudno się spodziewać, by wogóle kiedy do lepszych rezultatów dojść można było.

Albert Mniszek.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

Dnia 9. września zabito w majątku hr. Dunina w Głębokiej p. Felsztyn 3-letnią samurę która miała brzuch biały po szyję, przednie nogi białe po piersi, tylne po kolana.

Arcyksiąże Leopold Salwator polował z końcem września i w pierwszej połowie października br. w lasach skolskich i w okolicy Mizunia na jelenie. W towarzystwie arcyksięcia byli ochmistrz dworu rotmistrz Szabadhega, pułkownik bar. Giesl i kapitan artyleryi Pregler. W czasie polowania położono 10 jeleni, a mianowicie dwa czternastolatki, sześć dwunastolatków, jednego dziesięciolatka i jednego ośmiolatka. Dalszych łowów musiano zaniechać z powodu, że w górach zaczęły padać śniegi.

W lasach rządowych państwa Niepołomice odbywają się od czasu do czasu polowania na rogacze na tak zwany podjazd. Zjeżdża na nie zawsze JE bar. Albori, głównodowodzący korpusu krakowskiego Zajeżdża zwykle do leśniczego p. Fr. Bałki w Hyżnem na 2 — 3 dni i z nim,

oraz z jednym lub dwoma gośćmi poluje W czerwcu b. r. bar Albori z dwoma towarzyszami ubił 5 rogaczy, zaś w dniu 14. i 15. września br. Albori i dwóch gości z Wiednia ubiło 9 rogaczy.

Dnia 19 października odbyło się polowanie u pp. Kazimierzostwa Obertyńskich w Stronibabach. W 10 strzelb ubito w przeciągu niespełna 5 godzin: 60 zajęcy, 1 rogacza, 4 lisy, 4 słonki i dwie kuropatwy. Świetny ten wynik łowów przypisać jedynie należy niezmordowanej pieczołowitości gospodarza około podniesienia kultury leśnej, który nie szczędzi niczego, by majątek podnieść do stanu mogącego rywalizować z renomowanemi gospodarstwami zachodu.

* * *

W lasach staszowskich, gub. radomskiej, polował na rogacze hr. Andrzej Potocki od 12 — 20 września. Na 16 podjazdach zabił 71 rogaczy; niektóre sztuki wyróżniały się niezwykłą pięknością rogów. Lasy staszowskie stanowią bezsprzecznie bogactwo i ozdobę okolicy.

Dnia 4 września na polowaniu w dobrach Osiny u p. H. Moraczewskiego, w guberni piotrkowskiej w 4 strzelby ubito 218 kuropatw. Pp. G. Szem. i A. Bie ubili razem 161 sztuk.

W dniach 26 i 27 z. m. odbyło się doroczne polowanie w dobrach Somianka, należących do barona du Puget-Puchet. W dobrach tych zaprowadzono ochronę zwierząt. skutkiem czego od lat kilku nie brak tam zwierzyny.

Królem łowów był w pierwszym dniu sam gospodarz, w drugim dr. Kondratowicz z Warszawy. Celnymi strzałami odznaczył się również dr. de Boulanger, który na polowanie to przybył z Paryża.

Kronika.

Wydzierżawienie prawa polowania na gruntach gminnych. Starostwo w Rzeszowie rozpisuje licytacyę na wydzierżawienie prawa polowania na gruntach gminnych na czas do 1. stycznia 1898 do 31 grudnia 1904. t. j. na lat siedm. Dnia 22. listopada na gminy; 1) Babica 2) Błędowa rzesz. 3) Boguchwała, 4) Bratkowice, 5) Budy, 6) Bzianka, 7) Cierpisz, 8) Dąbrowa, 9) Drabinianka, 10) Kraczkowa, 11) Krasne, 12) Lipie, 13. Lutoryż, 14) Mrowla, 15) Nosówka. 16) Rzeszów; 17) Staroniwa, 18) Zabajka. Dnia 23. listopada: 19) Głogów z Borsukiem, 20) Jasionka, 21) Malawa z Wilkowyją, 22) Mołocin, 23) Niechobrz, 24) Nowawieś głogowska, 25) Pobitno i Załęże, 26) Przybyszówka, 27) Racławówka, 28) Ruska wieś 29) Słocina, 30) Staromieście, 31) Stobierna, 32) Świlcza, 33) Zarzycze. 34) Zwięczyca. Dnia 24. listopada: 35) Borek stary, 36) Borek nowy, 37) Brzezówka, 38) Chmielnik. 39) Łąka, 40) Łukawiec, 41) Palikówka, 42) Terliczka, 43) Trzciana, 44) Trzebownisko, 45) Wola zgłobieńska, 46) Wola rafałowska, 47) Woliczka, 48) Wulka pod lasem, 49) Zaczernie, 50) Zgłobień. Dnia 25. listopada: 51) Biała, 52) Błędowa tyczyńska, 53) Budziwoj, 54) Dylęgówka, 55) Grzegorzówka, 56) Hermanowa, 57) Hyżne, 58) Matysówka, 59) Przewrotne, 60) Rogoźnica, 61) Rudna mała, 62) Rudna wielka, 63) Styków, 64) Wola cicha 65) Zabratówka, 66) Zalesie. Dnia 26. listopada: 67) Białka, 68) Futoma. 69) Hadle, 70) Hucisko, 71) Jawornik miasteczko, 72) Jawornik przedmieście, 73) Kielnarowa, 74) Lecka, 75) Lubenia, 76) Piątkowa, 77) Siedliska, 78) Sołonka, 79 Straszydle, 80) Szklary, 81) Tyczyn, 82) Widaczów. Licytacya rozpocznie się w każdym z wyżej podanych terminów o godzinie 10 przed południem i odbędzie się na każde prawo polowania z osobna w tym porządku, w jakim gminy powyżej są wymienione.

Tryumfy myśliwstwa. Angielskie dzienniki łowieckie donoszą o niezwykłym wypadku w kronikach myśliwskich. Lord Grey, słynny Nemrod, w dwa dni zabił 1 000 cietrzewi. Obliczył on, że w ciągu lat dwudziestu położył trupem 316.699 sztuk zwierzyny; w tem: 111.119 bażantów, 89.401 przepiórek, 47.468 cietrzewi, 27.747 królików, 26.417 zajęcy, 2,735 bekasów, 1.393 dzikich kaczek. 381 kozłów, 97 dzików, 12 bawołów, 11 tygrysów, 2 nosorożców i 824 rozmaitej zwierzyny, 28 lat czynią mniej więcej 10.000 dni. Lord Grey w tym okresie zabijał więc przeciętnie po 30 sztuk na dzień.

Zupełnie białego jelenia, ważącego 200 funtów, o białym normalnym wieńcu, ósmaka, zabito w rewirze w Hirschau w Prusiech.

Rozmnoża bażantów. Ze Skałki p. K. Wlczek, arcyksiążęcy strzelec donosi co następuje: Z polecenia mego pryncypała arcyksięcia Karola Stefana wprowadzono w r. 1895 do rewiru Bestwin, w państwie żywieckiem, 60 par czeskich bażantów łownych w celu zaaklimatyzowania ich i rozmnoży. Bażanty te przy starannem pielęgnowaniu przezimowały bardzo dobrze i rozmnożyły się tak, że w sezonie polowania w r. 1896 zabito około 60 kogutów Mimo tego, że następną zimę pod staranną opieką również dobrze przezimowały, na wiosnę poczęły ginąć, tak, że w tym roku zupełnie polowanie na nie się nie odbyło. Do dóbr żywieckich przytykają dobra Rajcza, obejmujące 6000 morgów, a należące do ks. Lubomirskiego. W dobrach tych również już w zaprzeszłym roku sprowadzono bażanty do rozmnoży. Chociaż Rajcza ma tylko górskie rewiry, w zimie zasypane całą masą śniegu, mimo to bażanty tam nie giną, lecz rozmnażają się bardzo licznie. Dlaczego więc giną bażanty w rewirze Bestwin, który o wiele dogodniejszy jest dla bażantów? Może który z czytelników „*Łowca*“ zechce to wyjaśnić.

Sarna z rogami. D. 3. sierpnia br. w dobrach bar. Seidlera w rewirze Würmla pod Haspelwald ubito kozę mającą rogi.

Słonki. P. L. Nemling, rotmistrz w Złoczowie, donosi pod natą 29. września: Przed ośmiu dniami widziano już tu ciągnące pojedyncze słonki, a dnia 17. jedną ubito.

O zabawnym, ale niemiłym zarazem wypadku, donoszą do *Ostdeutsche Presse* z Białośliwia. Wyszło na polowanie trzech „nemrodów“ niemieckich i zabrali z sobą dobrze tresowanego psa, którego sobie pożyczyli. Po dość długiem oczekiwaniu, zerwała się przed nimi — kuropatwa, do której też równocześnie strzelili. Kuropatwa jednak, zupełnie zdrowa, pofrunęła dalej, a natomiast myśliwi postrzelili psa, który skowycząc popędził do domu i niebawem padł skutkiem ran otrzymanych. Ponieważ nie sprawdzono, który z myśliwych strzelił tak celnie do kuropatwy, że psa trafił, będą wszyscy trzej musieli zapłacić za owego psa 180 marek.

Wilki w Rosyi. Według miesięcznika *Chasse et Pêche*, ogólną liczbę wilków w Rosyi oceniają na 175 000 przynajmniej Odbywają się tam nieustające polowania na te zwierzęta, mimo to jednakże liczba ich prawie się nie zmniejsza. Szkody, jakie wilki zrządzają we wszystkich okolicach Rosyi są olbrzymie. zdołano obliczyć, że pożerają one rocznie około 180.000 sztuk bydła, 560.000 baranów. 100.000 psów, straty zaś ztąd pochodzące, oceniają na 5,000.000 rubli rocznie. Ponadto co roku wilki w Rosyi pożerają przynajmniej 150 ludzi.

„Made in Germany.“ Napis taki noszą wyroby niemieckie przeznaczone na eksport za granicę. Coraz więcej towarów z takimi napisami można widzieć w Anglii i niepodobna przewidzieć jak daleko zajdzie konkurencya towarów niemieckich w Anglii. Synów Albionu na każdym kroku w handlu i przemyśle pobijają wyroby niemieckie tak dalece, że nawet podobizny królowej Wiktoryi sprzedawane w Anglii z okazyi jubileuszu, jak się okazało, były robione w Niemczech. Nie dość na tem. Wielka Brytania zmuszona jest importować ztamtąd „artykuł“ niebywały... lisy. Jak wiadomo, polowanie na lisy jest zawodowym sportem Anglików, któremu się oddają od czasów niepamiętnych. Cóż, kiedy już lisów zabrakło. Więc trzeba sprowadzać je z Niemiec, niezbyt nawet drogo, bo po 10—15 marek od sztuki; lecz lisy niemieckie jak się okazuje, niewiele warte. Lis angielski biegnie prosto przed siebie, dopóki psy go nie złowią; lis niemiecki kołuje, co zmniejsza znacznie przyjemność polowania *par force*.

Zemsta dzika. Robotnik Koszalewski, zbierając grzyby w lesie szpandawskim, natrafił na legowisko dzika. Chcąc go spłoszyć, rzucił na niego kamieniem. Dzik uderzył w tej chwili na Koszalewskiego, obalił go na ziemię i zaczął obrabiać kłami. Pracujący w pobliżu robotnicy odpędzili rozjuszonego zwierza, a Koszelewskiego odstawili do lazaretu Jest on poraniony tak niebezpiecznie, że lekarze mają mało nadziei utrzymania go przy życiu.

Śmierć kłusownika. Ze Zwiernika donoszą: Dnia 3. listopada trzech kłusowników: Migała Antoni, Proszowski Jan i Miede Stanisław, we wsi Zwiernik, spoczywając pod lasem schowali chwilowo swe strzelby w krzaki. Kiedy je z powrotem z ukrycia dobywano, Migała Antoni tak nieszczęśliwie za lufę swej dubeltówki pociągnął, że ta wypaliwszy pół głowy mu oderwała. Śmierć naturalnie nastąpiła natychmiast.

Wypadki na polowaniach. Dni ostatnie obfitowały zagranicą w wypadki na polowaniach.

Z Darmsztadu donoszą, że w d. 30. z. m. na polowaniu *par force* w pobliżu zamku Kranichstein spadł z konia generał Adolf von Büllow i zmarł w nocy nie odzyskawszy przytomności. Generał Bülow był komendantem 21 brygady kawaleryi, bratem nowego niemieckiego ministra spraw zagranicznych. Rokowano mu świetną przyszłość. Był on dawniej doradcą wojskowym, a następnie adjutantem księcia Wilhelma, obecnego cesarza niemieckiego. W rozkazie dziennym głównej kwatery cesarskiej poświęcono mu gorące wspomnienie.

Z Wrocławia donoszą: Na „sznitzeljagd“ oficerów pułku dragonów spadł z konia komendant pułku, von Treskow i odniósł ciężkie rany, ale lekarze mają nadzieję, że uda się go uratować.

Na polowaniu z powłoką w okolicy zamku Moschen pod Neustadt na Górnym Szląsku spadła z konia hrabina Tiele-Winckler, pokaleczyła się, lecz już zdrowie odzyskuje.

Pod Pardubicami, jak donoszą z Wiednia, na polowaniu *par force* spadł z konia hr. Rudolf Ferdynand Kinsky, drugi syn księcia Kinsky'ego. Koń jego padając przy braniu przeszkody uderzył go kopytem w twarz. Ofiara wypadku ma się już lepiej.

Puszcza Białowieska. O 13 mil od Grodna, 3 od Prużan, 8 od Brześcia i 5 od Bielska leży głośna puszcza Białowieska, będąca ostatnim przytułkiem wymierających żubrów. Zajmuje ona przestrzeń w kształcie wieloboku, mającego rozległości 22 mil kwadr. Obwód puszczy ma 160 wiorst, najdłuższa przekątna 50 wiorst, a najmniejsza jej szerokość 40 wiorst. Nie łączy się z lasami sąsiednimi, od których oddzielają ją łąki, pola uprawne, wreszcie rzeki Narew, Biała i Lśnia.

Grunt w puszczy jest rozmaity; w jednej czwartej powierzchni jest piaszczysty, równy; w stronie północnej, w t. zw. straży Narewskiej, w uroczysku Moreńska Hrada, gdzie od Narwi ciągną się w różnych kierunkach dość wyniosłe pagórki, poprzedzielane moczarami i bagniskami, grunt jest błotnisty, jedną dwunastą część puszczy zajmują łąki, mające ziemię urodzajną, lekki czarnoziem i próchnicę. — Stosownie też do gruntu w jednych miejscach bujnie rozrasta się sosna, w innych rzadki dziś cis, to dąb, to olszyna, lub lipa, lasy oprócz tego gęsto są podszyte leszczyną i jałowcem. Pod względem hydrograficznym zawiera puszcza dużo wody, które zasilają przerzynające ją rzeki i strumienie; w miejscowościach też obfitujących w wodę najchętniej lubią przebywać żubry, prawdziwi królowie puszczy Białowieskiej. Oprócz żubrów w ostępach często spotkać można niedźwiedzia, rzadziej łosia i bobra, wiele sarn, lisów, mnóstwo wilków, kuny leśne, tchórze, łasice, wiewiórki, gronostaje, nórki, wydry, stada dzików, borsuki, itd.; z ptactwa: czarne bociany, żórawie, dzikie kaczki i gęsi, bardzo dużo głuszców, cietrzewi, jarząbków, dzikich gołębi itd.

W celu ułatwienia dozoru nad bogactwem leśnem puszczy i przebywającą tam zwierzyną, cała puszcza dzieli się na dwanaście straży, mających mniej więcej kształt tró kąta, schodzących się wierzchołkami około wioski, leżącej w pośrodku puszczy — Białowieży Nowej. Podział ten podania miejscowe odnoszą jeszcze do bardzo dawnych czasów. Każda znowu straż dzieli się na kilka lub kilkanaście ostępów lub uroczysk. Strażnik ma pod sobą kilku leśników, którzy obowiązani są codziennie choć raz jeden obchodzić swoje rewiry, pilnować spokojności żubrów tępić wilki. Aż do ostatnich czasów posady leśników były dziedziczne. Nazwiska straży są następujące: 1) Augustowska 9,205 kwadratowych dziesięcin, 2) Narewska 5,093 kwadratowych dziesięcin, 3) Browska 15,555 kwadratowych dziesięcin, 4) Hajmowska 6,065 kwadratowych dziesięcin, 5) Leśniańska 7,017 kwadratowych dziesięcin, 6) Starzyńska 4,133 kwadratowych dziesięcin, 7) Stołpowicka 4,932 kwadratowych dziesięcin, 8) Krakowska 7,886 kwadratowych dziesięcin, 9) Okolnicka 9 783 kwadratowych 10) Swietliczańska 5,295 kwadratowych dziesięcin 11) Podbielska 7,717 kwadratowych dziesięcin i 12) Dziadowiańska 3,028 kwadratowych dziesięcin.

Polowanie na żubry, łosie, niedźwiedzie, sarny i bobry surowo wzbronione jest nawet strażnikom i leśnikom, nadto mają oni polecone pilnie przestrzegać, aby w puszczy nie palono ognia.

Roku 1710 puszcza Białowieska była przyłączona do brzeskiej ekonomii królewskiej. Następnie z biegiem czasu zaliczono ją do dóbr państwa. W roku 1889 zmarły cesarz Aleksander III odwiedził po raz pierwszy Białowieżę, która mu się tak podobała, iż wydał rozkaz przyłączenia jej prywatnych dóbr cesarskich; w zamian oddano zarządowi dóbr państwa 116,713 dziesięcin lasów w guberniach Symbirskiej i Orłowskiej.

W środku puszczy zbudowano w ostatnich czasach cesarski pałac myśliwski według planów budowniczego hr. N. de Rochefort, kosztem 800.000 rubli. Pałac wzniesiono z nietynkowanej cegły czerwonej i żółtej. Wewnątrz wszystkie sztukaterye są rzeźbione w drzewie, ściany zaś zawieszone matami chińskiemi i manilskiemi. Wszystkie meble są wyrobione na miejscu i obite skórami, pochodzącemi ze zwierząt, zabitych w puszczy Białowieskiej. Cały pałac oświecony jest elektrycznością i zawiera przeszło 120 pokojów. Przed pałacem płynie rzeka Narewka, urządzono na niej dwie sztuczne wyspy, na których zwykle podczas pobytu w Białowieży cesarstwa przygrywają orkiestry wojskowe.

Z dawnych pamiątek puszczy Białowieskiej znajduje się domek myśliwski, zbudowany jeszcze przez króla Augusta III. W pośrodku wsi Nowa-Białewieża, nad brzegiem Narewki, znajduje się pomnik w kształcie obeliska z białego piaskowca, przeszło sześć łokci wysoki. Napis na nim brzmi jak następuje: „Dnia 28 Septembra 1752 Najjaśniejsze państwo August III, król polski, elektor saski z królową Jejmością i królewiczami Ichmość Ksawerym i Karolem tu mieli polowanie żubrów i zabili 42 żubrów, to jest: jedenaście wielkich, z których najważniejszy ważył 14 cetnarów 50 funtów; 7 mniejszych, 18 żubryc, 6 młodych. Trzynaście łosiów, to jest 6 starych, najważniejszy ważył 9 cetnarów 75 funtów; 5 samic, 2 młodych, 2 saren, suma 57 sztuk.“

Łacina łowiecka.

W sezonie polowań.

— Hej, hej! chłopcze! Dopiero co strzeliłem do kaczki. Spadła ot tu, w tem miejscu. Nie widziałeś?

— Owszem, widziałem.

— Dawajże, dawaj!

— Tylko że to nie kaczka, ale wrona.

— Hm.. wrona? To dziwne! Co za niezwykłe złudzenie optyczne!

* * *

— No, jesteśmy w polu... Zdejmuj fuzję z ramienia, psa puść przodem, zaczniemy strzelać.

— Bój się Boga, wolę odejść i patrzeć na to zdaleka. Uszy sobie nawet zatkam watą. Strzałów boję się od urodzenia.

— Więc dlaczego poszedłeś z nami na polowanie?

— A niech djabli wezmą i polowanie! Poszedłem, bom chciał chociaż na chwilę uwolnić się od gderania teściowej.

* * *

— Panie, panie!

— A czego panowie chcecie?

— Chodźno pan tu!

— Nie mogę, idę na kuropatwy!

— Dajże pan pokój kuropatwom! Co one panu zawiniły? Chodź pan lepiej do nas, jest nas trzech myśliwych, pan będziesz czwartym, zrobimy wincika na trawie! Tylko się pan spiesz, bo czas leci, przed wieczorem trzech turów nie zrobimy!...

* * *

— Panie Janie, jak pan zobaczysz kuropatwy, powiedz.

— A no masz pan! Dalej!

— Co dalej?

— Strzelaj!

— Jakże będę strzelał ze strzelby nienabitej?

— A dlaczegożeś jej nie nabił?

— Hm... zawszeć to bezpieczniej... mogłaby jeszcze wystrzelić.

— A więc idź pan sobie na stronę i nie przeszkadzaj. O, pies staje, usuń się pan, będę strzelał. Raz, dwa... paf! Co u djabła, nabój był wykręcony? Kto mi to zrobił?

— A to ja! Także dla bezpieczeństwa. Podczas śniadania wyjąłem i z pańskiej strzelby naboje. Zawszeć to bezpieczniej.

Handel zwierzyną.

Chcąc czytelnikom naszym i członkom gal. Towarzystwa łowieckiego ułatwić zbyt zabitej zwierzyny i skórek zwierzęcych będziemy odtąd regularnie podawali ceny, jakie na zwierzynę notują w Berlinie, Lipsku, Peszcie, Wiedniu i t. p. oraz adresy handlarzy, z którymi w sprawie sprzedaży zwierzyny najlepiej się porozumieć. Ułatwi to członkom Towarzystwa zbyt zwierzyny i ochroni ich od wyzysku pośredników w handlu.

Berlin 26. października (sprawozdanie Fr. Andreasa, miejskiego pośrednika handlowego, centralna targowica (Centralmarkthalle in Berlin) Dowóz sarn i jeleni był znaczny, mimoto ceny za wyborowy towar były wysokie, szczególniej dobrze płacono za jelenie. Zajęcy na targu było bardzo mało i był wielki popyt o nie, tak, że przesyłki zajęcy bardzo opłacić się mogą. Ptactwa prawie na targu nie było i dlatego dowóz dobrych, tłustych bażantów, świeżych kuropatw i kwiczołów byłby bardzo pożądany.

Wrocław 26 października. Kuropatwy są drogie, słonek i kwiczołów dowieziono obficie.

Peszt 24. października (Sprawozdanie centralnej targowicy) Notowano: dzikie kaczki 80 ct, kuropatwy 75 ct., zające 1zł. 70 ct. za sztukę. Dzikie gołębie 50 ct., przepiórki 50 ct. za parę. Sarnina 75 ct., daniel 60 ct. za 1 kg. Cały czomber sarni 5·50, udziec sarni 3·50 zł.

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.